

TY GODNIK

CENA
50 GR.

KOBIETY

Nr. 24/25
5 lipca
1936r.



15
2/VII, 20/IX



- 120. BLUZKA Z BIAŁEGO JEDWABIU, PRZYBRANA KOLOROWYM HAFTEM.
- 121. BLUZKA Z RÓŻOWEGO JEDWABIU Z CZARNEMI APLIKACJAMI.
- 122. BLUZKA Z LAWABLU PRZYBRANA RĘCZNYMI MEREŻKAMI.
- 123. SUKNIA Z GRANATOWEGO JEDWABIU W BIAŁĄ KRATKĘ. PELERYNKA PRZYPI-NANA DO RAMION.
- 124. SUKNIA POPOŁUDNIOWA Z BIAŁEGO JEDWABIU W KOLOROWE KWIATY.

TYGODNIK KOBIETY

ROK II. Nr. 24-25

5 LIPCA 1936 R.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NATOLIŃSKA 9 m. 13 — TELEFON 7-08-03

DROGĄ W NIGDZIE

Doskonała gładka szosa przecina zieleni pól, wrzyna się w lasy, mija zagajniki, wbiega na łagodne wzgórza, spada w dół: prowadzi linią wyciągniętej wstęgi do miejscowości, której nazwa budzi grozę... i ciekawość.

Autobus sunie lekko i płynnie. Siedzę przy kierowcy, wchłaniając w siebie pęd i dal. I myślę. Jadę „do nich”. Drogą, którą i one jechały. Drogą, na której i one myślały. Drogą, z której ja wrócę, a one?... Chcę zobaczyć, jak żyją, co robią, o czym rozmyślają, jaką ewolucję przeszły, czy chcą czegoś dożyć, one, te oddzielone od nas zbłąkane siostry, najniezwyklejsze z nieszczęśliwych. Ale dla mnie jazda dzisiejsza, połączona z wyczekiwaniem i wrażeniami, to emocja — dla nich czymże była? Ostatniem spojrzeniem na świat boży, na budynki jakiejś podmiejskiej stacyjki, na pociąg, na ogromny, cichy las, na objęte horyzontem, pokrajane prostokątami zbóż, uprawne pola: na życie codzienne, dotychczas niedostrzegane, takie zrozumiałe w swym istnieniu, proste ŻY-CIE, które nagle stało się tak niewypowiedziane ważne, drogocenne, najpotrzebniejsze, a stracone. Na zawsze. Potworne słowo płacze mi się w mózgu, żądając uprzytomnienia sobie jego doniosłości. Odpowiednikiem tego wyrazu to — n i g d y. I jakoś mi łatwiej zrozumieć, gdy sobie powtarzam zziębnięta w ten przecudny dzień wczesnego lata, słowo „nigdy”. Czyż to w gruncie rzeczy nie wszystko jedno, czy matka nie zobaczy swego dziecka „nigdy”, czy też straciła je „na zawsze”? Czy kobieta, poświęcająca całą duszę ukochanemu mężczyźnie, „na zawsze” od niego została oddzielona, czy też, że „nigdy” już nie spojrzysz w jego oczy?...

Fordon od Bydgoszczy dzieli tylko trzy kwadransy drogi. Trzy kwadransy? To niemożliwe: to są trzy wieki, przełęcz w czasie, dzieląca bezpieczną codzienność od głębin istnienia bez z y c i a.

Jeszcze jeden zakręt. Autobus wpada w schludną uliczkę wielkopolskiego miasteczka i staje na rynku pod czerwonym gmachem. Więc to tutaj. Wyczulonem uchem staram się dosłyszeć jakiś dźwięk z poza murów. Nic. Ani gwaru, ani śpiewu, ani głosu — bezosobowa cisza rzeźby martwych.

Po dopełnieniu formalności i wylegitymowaniu się u wejścia, zostaję wprowadzona do naczelnika. Przygotowana byłam na człowieka srogiego, bezwzględego, bodaj nawet okrutnika — omyliłam się: zza biurka w pokoju, obwieszonym kilimami, wstaje szczupły, niski starzec o bystrym lecz bezwzględnie miłym spojrzeniu. Witam mnie uprzejmie, prawie serdecznie.

— Nu, i chwala Bogu, że pani kuratorka przyjechała — grzmi potężnym, tubalnym głosem, dziwnie brzmiącym w tej zasuszonej, drobnej piersi. — A my myśleli, że ot, powiedziała — przyjedzie, a nie przyjedzie! — ciągnie melodyjnie zgłoski z rosyjska. Sumituję się, że przybyłam dopiero dzisiaj, ale naprawdę, tyle mam pracy...

— Wiadooooo, wiadooooo! — przerywa mi w pół słowa, — też praca to szczęście! A my, co w naszym zawodzie pracujemy, wiemy, jak ją cenić. Nu, dobrze... Znaczą, pani kuratorka chce poznać się z naszym dzieciem, czy jak?

Wyjaśniam, że pragnę wejść choćby na parę godzin w tryb dnia tutejszego, poznać mieszkanki czerwonego gmachu, zobaczyć je przy pracy, po-

rozmawiać z niemi, wypytać o bolączki, zabrać zlecenia, zapytania, upomnienia dla rodzin, rozsznanych po kraju...

— Ależ owszem, owszem, my chętnie!... My zawsze, jak tylko pomóc im, biednym, to pomagamy! Obejrzymy pawilony, dobrze?

Zgadzam się na wszystko. Idziemy. Podwórce przepełnione jest kobietami, ktyrych spojrzenie wyraża ciekawość i niepewność. Młode, stare, w średnim wieku. Odpoczywają po obiedzie i przed nową pracą. Pośrodku na trawnikach rośnie kilka drzew, pod niemi stoją ławeczki. Kobiety siedzą gęsto obok siebie, rozłożyły się na murawie pod domem, wystawiając twarze na promienie słońca: opalają się... Niby daleka reminiscencja przypomina im się ta owa plaża, ogrody w miastach, zdrowe, pogodne dziewczęta, osmalone na brązowo, roześmiane... Mój Boże, chcą być ładne, chcą się podobać, a te?... Odrzucam natrętne myśli, rozglądam się w tłumie. Kobiety odziane są w „swoje” suknie: nędzne bluzeczki, wytarte spódnice i sukienki; niektóre noszą na głowach chustki związane pod brodą.

Splecione ramionami, jak pensjonarki podczas pauzy, chodzą alejką trzy młode kobiety. Rozmawiają. O czym one mogą mówić? Co się dzieje w tej zamkniętej społeczności? Jakie tematy je absorbują? Nieco dalej dwie szczupłe matki prowadzą pieczołowicie swe maleństwa na spacer.

— Macie tu żłobek?

— Tak jest. Na kilkanaście łóżeczek. Dzieci pozostają przy matkach do dwóch lat.

— A potem?

— Potem to właśnie bolączka, pani kuratorko. Wy tam, w Warszawie,

nie wiecie nawet, ile w takich gmachach odbywa się tragedji. Matka np. straciła prawo do opieki społecznej, bo nie ma przynależności gminnej, ponieważ nigdzie nie mieszkała przez rok. Potem dostała się do więzienia, gdzie na świat przyszło dziecko, nie posiadające, jak i ona, żadnych praw do opieki. Miasto nie chce go wziąć, bo ktoś za nie będzie płacił? Gmina, skąd pochodzi matka, umywa ręce. Co robić? Czasem zabiera je rodzina, czasem oddaje się dobrym ludziom na wychowanie, ale prawa na to nie ma.

Przyrzekam, że sprawę przedstawię w Ministerstwie Opieki Społecznej i wchodzę do pawilonu celkowego. Ogarnia mnie chłód i półmrok. Mury są stare, grube, okna małe, umieszczone wysoko. Zgrzytają pierwsze otwierane drzwi.

Staję oko w oko z dwiema kobietami. Obydwie są w średnim wieku, obydwie były zapewne przystojne; dziś czas, troska i cierpienie zjadły u-

rodę, nie zgasiwszy jej odblasku: ze ściągłej twarzy patrzą na mnie głębokie, czarne oczy w sieci otaczających je zmarszczek; usta (musiały mieć wypukły, łagodny wykrój) drżą.

— Jestem kuratorką. Czy mogłabym paniom w czemś pomóc? Może ja kieś sprawy rodzinne? Może dzieci, mężowie? — mówię poważnie, spokojnie, z opanowaniem, ale Bóg tylko wie, ile mnie to kosztuje.

— Jabym prosiła... — odzywa się starsza z nich. Głos jej drży, urywa się, cichnie.

— Śmiało, śmiało! — zachęcam ją wysilonym uśmiechem. — Już widzę, że się pani nasza pomoc przyda! Więc cóż to takiego? — Milczy, wargi jej drgają, ręce zaciśnięte są kurczowo. — Może pani chce porozmawiać ze mną sam na sam? Bo jabym wolała! — śpieszę ułatwić jej w miarę możliwości i proszę naczelnika, aby mnie pozostawiono z nią samą.

— Niech pani będzie łaskawa zoba-

czyć moją córeczkę, zaczyna gorączkowo kobieta, gdy drzwi zamykają się za wychodzącymi. — Niech pani zobaczy własnemi oczami i napisze mi, czy jest zdrowa, jak wygląda, co robi...

— Kiedyż... hm... kiedyż ją pani... widziała ostatnio?

— Pięć lat temu. Miała cztery latka. Taka była ładna! Blondyneczka. Ale podobna do męża, a ja przez niego... tutaj...

— Na długo...?

— Piętnaście lat. Miał kochanki... Wydawał na nie wszystko... Doprowadził mnie do ruiny materialnej i moralnej... Nie wytrzymałam... Teraz go nie ma... Pani zobaczy Jasię? — pyta gorączkowo. — Naturalnie. Proszę po dać jej adres i u kogo się wychowuje.

Wychodzę przeprowadzona długiem spojrzeniem. Jest w niem i wdzięczność i niedowierzanie i zadróżność.

(D. n.)

Zofja Petesowa

KOBIETA I ŻOŁNIERZ

Któregoś dnia rozległ się w telefonie dźwięczny głos pani generałowej Dreszerowej.

— Może pani zechce pojechać na pobór? Zajadę po panią.

— Na pobór?

— Tak. Zobaczyć, jak pracują na tym terenie świetliczanki Białego Krzyża.

— A! Doskonale.

I w parę dni potem w upalne rano auto pomknęło przez most Poniatowskiego. — Żeby było przyjemniej — mówi ze śmiechem pani generałowa.

A potem mięły przeróżne ulice i uliczki Pragi. Domki, parkany i kamienice. Wreszcie ulica Szeroka. Stajemy.

Przed domem granatowe symbole władzy, sprawdzające legitymacje. A potem...

— Potem pewnie będzie duszno, brudno, ponuro, smutno i nudno — przemyka przez myśl. A myśl jest znakomicie podniecona ciekawością. Jak skojarzyć kobietę z poborem?

Myślom towarzyszy wspinanie się po schodach. I...

I duża, czysta, pogodna sala wypełniona młodymi chłopcami. Robotnicy, chłopci, półinteligenci, inteligenci. Wszyscy jednakowo młodzi, bez względu na urodę i jednakowo czysti, bez względu na sytuację. Wiadomo przecież każdemu, że będzie się musiał prezentować przed Komisją, tak, jak go Pan Bóg stworzył. Czeka-

A tymczasem przedstawiciele policji sprawdzają karty ewidencyjne. Wśród kilkudziesięciu męskich postaci uwija się wysmukła sylwetka młodej kobiety. Biała opaska na rękawie szafirowego fartucha.

— Proszę pań, tam dalej w salach odbywa się badanie lekarskie rocznika 1915 r. Pójdzie do służby na rok przyszły. Tu czekają, — wyjaśnia pani świetliczanka. Dawniej wałęsali się po ulicach w oczekiwaniu kolejki. Dziś mają świetlice — dodaje z dumą.

— Nasze świetlice są czynne od 1-go maja do 1-go lipca. Mamy cztery sale. Trzy po dwóch miesiącach się likwiduje, po skończonym poborze. Jedna zostaje przez cały rok. Bo Komisja ciągle ma pracę.

— Pracujemy codziennie od 8—1-ej. A jak, to może panie zechcą zobaczyć.

W widnej sali stoły wypełnione gazetami i czasopismami. Na ścianach wiszą tablice z ilustracjami, ułatwiające w sposób poglądowy wybór książki do czytania z podręcznej biblioteki. Książki o Marszałku, literatura obca, przygody i opisy. Każda sala świetlicowa podaje te katalogi w sposób indywidualny. Jedna ma afisze ręcznie malowane.

Na stołach gry towarzyskie.

Właśnie spora grupa notuje wyniki i układa jakieś długie, kolorowe patyczki.

— A to co?

— To gra w bierki. Ulubiona gra powstańców — wyjaśnia pani generałowa.

Skupione w rękę patyczki, rozrzucone na stole promieniście, trzeba zbierać, nie dotykając jednego o drugi. Gra wymaga delikatności, cierpliwości, zręczności.

Zdługa gdzieś dobiegają dźwięki tanecznej muzyki, wywołane pewną i wrażliwą ręką.

— Gdzie to grają?

— To jakiś poborowy w sali na górze — mówi świetliczanka.

Idziemy. Taka sama świetlica wypełniona młodymi ludźmi. I taki sam niebieski fartuszek. Na ścianie napisy głoszą, że „herbata i bułka za darmo”.

Na stołach niebieskie albumy z napisem „humor”. A w nich ponalepiane dowcipy, karykatury, humorystyka. Poborowi czytają, rozmawiają. Ani cienia przygnębienia. Czasem ktoś tam w kącie na coś się irytuje. Ktoś się zamyśla. Ktoś bardziej nerwowo czeka.

Za drzwiami przecież zważą się jego losy. Ocena zdrowia. Przydział. Odroczenie. Nowe życie. Służba dla Polski.

Ale na melancholję niema czasu. Niebieski fartuszek uwija się wszędzie. Zagaduje. Podaje książki; piśma. Zachęca do wspólnych gier albo głośnego czytania.

— Poproszę panów o chwilę ci-

szy — mówi. — Zanim panów poproszę na herbatę i świeżą bułeczkę...

— Dziękujemy — wołają.

— Chcę panom powiedzieć o bezpłatnych biletach do kina.

Poruszenie. Sensacja. Radość.

A potem pani świetliczanka wyjaśnia, co robi Biały Krzyż dla wojska, jak pracuje w zakresie oświaty. Oczywiście łącznie z wojskowością i na terenach przydzielonych przez wojsko. Zakładane są świetlice. Czynne biblioteki. Nauczanie analfabetów. Każdy z wojska wraca oświecony w 1, 2 lub 3 stopniu nauczania. Organizowane są wycieczki. Najgłębsze współżycie następuje na terenie świetlic.

— Bo, proszę panów — mówi gorąco pani generałowa — świetlica to, jak dom rodzinny. Nietylko się tam uczy. Ale można pisać listy do swoich, można rozwijać posiadane zdolności, można się odprężyć, odpocząć. Bo w wojsku, jak to w wojsku. Musi być poszanowanie dla rangi i posłuch. A w świetlicy można z panią świetliczanką porozmawiać, poradzić się, uzalić. Każdy wie, że to swoja osoba.

— Jednej za mało — odzywa się czyjś głos.

Ale pani generałowa od razu odpowiada stanowczo:

— Ja mówię poważnie, a pan robi niewłaściwe dowcipy z rzeczy poważnej. To nieładnie.

W ciszę padają czyjeś słowa:

— On w wojsku spoważnieje.

Nadchodzi przewodniczący komisji i w gorących słowach dziękuje P.B.K. za zorganizowanie tych świetlic dla poborowych. Czas oczekiwania upły-

wa im przyjemnie, spokojnie. Zdenerwowanie łągodzi obecność szafirowej panią.

A trzeba taktu nielada, powagi, umiaru i wyrobienia młodej dziewczyny, żeby poradzić sobie samej z tłumem mężczyzn. Ona jest jedna. Ich conajmniej kilkudziesięciu. Czasem paruset. Element różnorodny. Patrjoci. Militaryści. Defetyści. Zaciekawieni. Zadowoleni. Malkontenci.

Zadaniem świetlicy jest poza wypełnieniem im czasu nastawienie ich psychicznie do tego, co ich będzie czekało tam, za szeregiem odległych drzwi.

— Proszę panów — mówi znów świetliczanka. Tu są zeszyty „Kronika” wrażeń. Może panowie zechcą coś napisać?

W „Kronikach”, które się chciwie przerzuca, ogromna skala odczuć. Pisma kulturalne i grygluki z błędami ortograficznymi. Podziękowania serdeczne i proste. Uwagi kostyczne.

„Na komisji nie jest bardzo wesoło, bo wszystkich pchają w sołdaty”.

Na komisji jest dobrze, bo pomagają „Kochane dziewczuszki”, którym się wdzięczność należy za „dobre czarce”. Dalej rysunki piórkiem. Co kartka inny wyraz odczuć, inne oblicze duchowe.

Wreszcie rysunek Marszałka Piłsudskiego i podpis: „Autorowi wielkiego dzieła w którym bende litero. Poborowy Nr. 604”.

Od przeglądania „Kroniki” odrywają wzrok postacie kleryków, którzy idą też stawać na komisję.

Wreszcie schodzimy na dół. Mieści się tam bufet płatny i bezpłatny.

Czysto, estetycznie, jasno i kwieście. Wszędzie te same delikatne ręce kobiece, dobre i poważne. Pracują z całą ideowością, nie żałując sił ani inicjatywy. Rozumieją wartość niesionej oświaty i mozolnie a stale wszczepiają kulturę.

Przeszkalane są specjalnie, chociaż wszystkie mają matury. Na instruktorki idą te z wyższym wykształceniem, kończące specjalne kursy.

Oczywiście, najwydatniejszy wpływ daje praca świetlicowa, gdzie kierowniczką ma możliwość bliższego zapoznania się z żołnierzami. Praca to ciekawa, wdzięczna, oparta na podstawie starszego, poważnego koleżeństwa.

A jak wygląda taka świetlica „na codzień” przy pracy, pokazano na wiosnę na żołnierskim przedstawieniu. Inscenizacja była świetna i dała możliwość niektórym żołnierzom do zaprodukowania istotnych talentów. Tak samo, jak inscenizacja Wyspiańskiego „Wielkości, której imię twe nadano”, stojąca na wysokim poziomie artystycznym, przynosiła zaszczyt pani świetliczance, która ją zrealizowała.

Od rozważań na temat wartości kulturalno-oświatowej świetlic odrywa zwiększony gwar przy drzwiach w głąbi świetlicy. To nowych dwunastu poborowych idzie do rozbieralni.

Na nas też czas. Więc pani generałowa mówi na pożegnanie, że — cokolwiek los tam panom przyniesie, życzymy „szczęść Boże”.

— Dziękujemy, dowidzenia — odpowiadają.

Marja Dobrowolska

W CIENIACH SŁAWY

Do Schroniska Artystów Weteranów Sceny jedzie się z Warszawy kolejką wilanowską. Od stacji Chylice kilka kroków tylko. Dom biały, duży — willa. Witają nas bzy, rozkwitłe śmiałymi odcieniami, dywaniki bratków na strzyżonej nisko trawie. Na tarasie Ryszkowski b. reżyser i utalentowany aktor.

Chodzimy razem alejkami o sypkim piasku. Oglądamy ogród. Pan Ryszkowski maluje i na wszystko patrzy oczami artysty. Zamiłowanie to zbudziło się późno. Aktor-malarz. Objawienie tej możliwości jest dla niego ukojeniem po śmierci żony, p. Ryszkowskiej, która mieszkała także w schronisku.

— Budzi mnie słowik, skrowronek i jaskółka — mówi wesoło pan Ryszkowski. — A oto portret Wiśniewskiego. Proszę!

— Podobny, ach jak podobny!

— Tylko trochę zbyt stary.

Pan Wiśniewski stoi właśnie na schodach. Zasłużony aktor i dyrektor prowincjonalny. Pan Wiśniewski ma piękną głowę o siwych włosach, lśniących księżycowo przy opalanej twarzy. Z balkonu dobiega dźwięczny głos Biskupskiej. Jakiś dwuwiersz, rytm Wyspiańskiego. Dwuwierszem odpowiada z dołu Ryszkowski. Starszy aktorzy — słoneczne, wielkie dzieci.

Mieszkają w schronisku w małych, czystych pokojach, gustownie umeblowanych. W każdym pokoju pamiętki, pożółkłe fotografie, szarfy. Ich życie jest już poza nimi, ale wspomnienia są tak samo żywe. We wspomnieniach są młodzi, sławni, jak w tamte dni.

Z inicjatywy Antoniego Bednarczyka, ze składek Związku Artystów Scen Polskich, powstał dom. Gdy mi-

na oklaski i wieńce, tu się można schronić. Myśl, idea domu, urzeczywistniona w czynie jest pięknym świadectwem celowej troski ZASP-u o los zasłużonego w pracy aktorstwa.

Wchodzimy do sali jadalnej, połączonej z biblioteką i czytelnią. Czysto, jasno, cicho. Na górze kaplica, majowo ukwiecona. W pokoju, poświęconym pamięci Józefa Kotarbińskiego, ufundowanym przez żonę znakomitego artysty, mieści się małe muzeum. Fotografie świetnych kreatorów wiszą równymi rzędami, afisze pamiątkowe, ulubione książki, listy od Wyspiańskiego, Rydla, order, od znaczenia.

Ale właśnie dzwonek na obiad. Są wszyscy, prawie wszyscy. Pp. Ferner-Wiśniewska, wodewilistka, żona Wiśniewskiego, Wilgarełowa, Palińska, Biernacka, Elertowa z Grodna, Biskupska z Łodzi, Niewiarowska,



Schronisko Artystów Weteranów sceny.

matka tragicznie zmarłej Kazimierzy Niewiarowskiej. Z panów tylko Kiernicki (z teatru Małego z czasów Gwałewicza). Inni mają inną kuchnię ze względu na stan zdrowia.

Jemy zupełną pomidorową. Zdawkowe, lakoniczne pytania wpadają między jedną łyżkę a drugą.

— Jak zdrowie?

Matka Niewiarowskiej odwraca głowę. Twarz jej robi się jasna.

— Lepiej, dziękuję.

Nagle jednak znowu oczy przyciągnęła zatrzymuje na krawędzi talerza.

Po obiedzie rozmawiam z Palińską. Jej uśmiech, dziwnie młody, odsłania w kącikach ust dolne, ostre zęby.

— Jak się czuję w schronisku? Dobrze. Szczególnie, gdy już przychodzi lato, zieleni. Tryb życia? Wszystko na dzwonek. Całe życie na dzwonek. W szkole dzwonili, w teatrze dzwonili, tu dzwonią, no i nie długo może tam zadzwonią.

— Wspomnienia, praca? — pytam chcąc odsunąć przykre myśli.

Ale dla p. Palińskiej myśl o nieuniknionem nie sprawia przykrości. Mówi o tem tak samo pogodnie, jak o swym debjucie w teatrze Rozmaitości, z takim samym uśmiechem.

— Pracowałam z Solskim, z Rygierem, z Bolesławskim. Role liryczno-dramatyczne. W spole pracowali między innymi: Frenkiel, Roland, Trapszo. Przeżyłam cudowne i niezapomniane chwile w r. 1905, gdy pozwolono w Wilnie otworzyć scenę polską po 40 latach. Przyjechalibyśmy na występy z Warszawy. Tego szczęścia, łez i kwiatów nie można opowiedzieć. O tem nie sposób przestać myśleć.

P. Biernačka jest miła i wesoła w

swym jasnym pokoju. Gdy chodzi jednak o wspomnienia, skąpa.

— Minęło. Już się nie pamięta. Wszystko było tak dawno. Miałam kilka pięknych chwil. Trudno mówić, to było tak dawno. Ciągłe ktoś odchodzi. Tylko się teraz czeka. Niedawno pogrzeb. Przeżycia, praca — komu to dziś potrzebne?

Ale p. Zimajer mówi o przeszłości. Ożywia się, młodnieje. Wita nas zmrózonemi w uśmiechu oczami. Jest w tym uśmiechu ciągle.

Ściany pokoju p. Zimajer zawieszono fotografiami. Wśród nich wysoko portret Heleny Modrzejewskiej i pamiątka od niej, oprawiona w ramki wyblakła depecha z 1884 r. *Zimajer, Berlin, Charlottenstrasse 97. „Félicitations de votre succès Hélène Modrzejewska“*.

Adolfina Zimajer, największa w dewilistka polska, sławna w Polsce i na scenach zagranicznych „Zimajer-

ka“ od dwu lat leży sparaliżowana. Ale z portretów, z licznych fotografii patrzą z nieporównanym wdziękiem łobuzerskie oczy „Zimajerki“, „mademoiselle Nitouche“, której czar i werwa tak sugestywnie w swoim czasie promieniowały ze sceny.

Tyle lat upłynęło od tych pierwszych kroków, od pełni sławy.

W r. 1866 piętnastoletnia Adolfina Wodecka debiutuje w Czerniowcach. Po małżeństwie z dyrektorem teatru w Czerniowcach Gustawem Modrzejewskim-Zimajerem, artystka występuje pod nazwiskiem męża. Kształci się w śpiewie, wytrwale studjuje języki. „Od czasu „Zemsty“ nie pamiętano podobnego entuzjazmu w teatrze lwowskim“ — mówią recenzje po występie Zimajerowej we Lwowie.

W r. 1880 zachwyca się nią Warszawa. W 1884 oklaskuje Berlin. Prasa niemiecka widzi w niej „uosobienie scenicznego wdzięku“, podziwiając jej humor, temperament i nawskroś oryginalny talent. Śpiewa we Frankfurcie, Hamburgu, Wiedniu, Pradze, Chicago — wszędzie z szalonym powodzeniem.

— Teraz to mi w gardle coś przeszkadza, ale mogę jeszcze śpiewać: „Józienko, serdenko, gdzieś podział piórenko“ — nuci p. Zimajer, kładąc nacisk na efektowne zakończenie góralskich piosenek.

Jest tak wesoła, a tak przecież chora. Rozmawiamy o tremie.

— Jednemu wchodzi w głos, innemu w ręce. Mnie raz weszła w nogę — mówi p. Zimajer — a miałam tańczyć. To mi noga tak drżała, że musiałam tupnąć. Dopiero wtedy trema uciekła.

Jasne oczy p. Zimajer błędzą po ścianach, chwytają z portretów wspomnienia.

— Ta z Wiednia, a ta z Berlina — mówi, wskazując poźółkłe fotografie, dorzucając radosne komentarze.

Kl. Sołonowiczówna

ATAK ŚLEPEMI NABOJAMI

Najbliższe nawet zagadnienie, jeśli jest poruszone, to znaczy, że dla kogoś stanowi ono rzecz istotną.

Jeżeli zaś spotyka się z odzewem zewnątrz, to fakt ten stwierdza niezbicie, że zagadnienie jest ważne i życiowe.

Ucieszyłam się niezmiernie, napotkawszy na łamach „Tygodnika Kobiety“ sprzeciw zdecydowany i bezwzględny pod adresem mego artykułu zamieszczonego w Nr. 17 tegoż „Tygodnika“ p. t. „Najzdradliwszy z poród wrogów“.

Pełna rycerskiego animuszu posta-

nowiłam zmierzyć swe siły na udeptanem polu z nieznaną mi osobiciście rzeczniczką rodu kobiecego (który ja podobno smagam niemiłosiernie). I wyznam szczerze — byłam wdzięczna losowi, że p. M. Rudoszańska jawiła się przede mną, jako symbol wschodzącej w życiu solidarności kobiecej.

Nareszcie kobieta — arbitrem kobiet!

Właśnie o takim przeciwniku marzyłam. Właśnie owa chłosta moralna, owo piętnowanie przeze mnie wad wrodzonych, imputowanych lub adaptowanych przez społeczeństwo kobie-

ce, miało zawsze na celu wywołanie takiego sprzeciwu.

Bo uświadomienie sobie jakiegokolwiek zjawiska i odruchowa nań reakcja są zawsze pierwszymi objawami postępu.

Jakież więc było moje rozczarowanie, gdy po przeczytaniu artykułu p. M. Rudoszańskiej p. t. „Jeszcze parę słów na temat „kobiecości” (Nr. 21 „Tygodnika Kobiety”), muszę zamiast odparowywania groźnych ciosów lub też zwalczania wadliwie naświetlonych zagadnień, ograniczyć się do zwęskowania procesu myślowego na właściwe tory, któremi biegła myśl moja, w czasie przeistaczania się w słowa.

P. Rudoszańska dopatruje się we mnie przykładowej i wstecznej feministki, która nie otrząsnęła się jeszcze z „pewnych szablonów pojęć, jakimi kobiety — nie tak dawno — walczyły o swoje prawa”. Dalej udziela sankcji pojęciu: „że wojujący feminizm już jest nieaktualny, gdyż w ramach istniejących uprawnień kobieta może żyć swobodnie i samodzielnie”.

Hm! Jednakże ten wtórny zwrot optymizmu p. Rudoszańskiej niechętnie potwierdzają nam fakty życiowe.

Co zaś do mego feminizmu na prywatny użytek; to oczywiście, przeszłam go, jako pewien nieodzowny etap w skali ogólnorozwojowej.

Nieco dalej druga rakietka, która jest jakoby logiczną konsekwencją mego feminizmu.

P. Rudoszańska pisze: „autorka (czytaj M. Ankiewiczowa) występując przeciwko największemu, rzekomo, wrogowi kobiety — jej własnej niewolniczości uczuciowej, uderza w mężczyznę(!) i w małżeństwo(!) i uważa za rzecz zdumiewającą i tragiczną, że: „dzisiejsze nowoczesne dziewczęta wyznają głośno i otwarcie, że pragną wyjść za mąż — bo bez miłości dla nich pełnia życia nie istnieje”.

Przykro mi bardzo, że p. Rudoszańska, posiłkując się cytatami z mego artykułu, bierze oddech w miejscu niewłaściwym i nie cytuje zdania następnego, dopełniającego rozpoczętą myśl, a które brzmi następująco: „a granice tej domniemanej pełni, w dalszym ciągu określa im (nowoczesnym dziewczętom) i wytycza rozpiętość uczuciowego horyzontu, ale tylko dostrzegalna z ich własnej strony”. To chyba nieco reformuje w oczach uważnego czytelnika mój domniemany antagonizm małżeński, który tak zapalczywie pragnie we mnie odkryć, aby go potem zwalczać p. Rudoszańska.

Refleksje p. Rudoszańkiej umocniły mi raz jeszcze w przekonaniu, jak wielką mądrość życiową zamyka-

ją w sobie słowa Zofji Nałkowskiej głoszące, że: „droga myśli od człowieka do człowieka jest tak daleka i skomplikowana, że prawie nigdy nie dociera do drugiego umysłu w formie niespaczzonej”.

Mając to na uwadze, ja ze swej strony z wielką ostrożnością wysuwam własne zastrzeżenia, co do poglądów stwierdzeń p. Rudoszańskiej.

Czytamy: że na pełnię życia składają się „praca i miłość”. I że, „jeżeli kobieta ponosi więcej trudów i więcej na nią spada obowiązków, wynika to z jej naturalnego, biologicznego przeznaczenia”.

Nie sądzę! Bo jeśli spojrzymy na kształtowanie się nastrojów społecznych świata na przestrzeni wieków, to tam znajdziemy znakomitą i przekonującą odpowiedź na zagadnienie ekonomicznego położenia kobiet i ich „biologicznej” predystynacji do podejmowania większych ciężarów życiowych od mężczyzn.

Tak samo nie mogę zgodzić się z p. Rudoszańską, aby „tragizm ukryty, wewnętrzny, biorący swe źródło w ciężkich zmaganiach duszy kobiecej z jej godnością ludzką(!), w konfliktach uczuciowych, irracjonalnych, w których nikt nie jest winien(?), tyl-

ko się szuka namiętnie winy, żeby znaleźć ulgę... aby kobieta rozstrzygała je tak, jak ją na to stać!”

Ten dobrowolnie zastosowany stry chulec na własny poziom nie może pozostać człowiekiem obojętnym.

Nie wolno nam określać sobie granic rozwojowych linią demarkacyjną: „jak nas stać!” — bo wtedy nigdy jej nie przekroczymy i zawsze nas *na nic nie będzie stać!*

Tak samo nie wolno nam zakładać plantacji „kobiet-kwiatów”, dla których prawa do istnienia domaga się p. Rudoszańska, bo to mogłoby się stać powodem do rewolucji. Albo wszystkie kobiety chciałyby stać się urodą życia — albo też zgładziłyby koterję uprzywilejowaną. Ludzkość podlega wykładnikom sił bardziej złożonych, aniżeli wyłącznie prawom natury i dlatego ustrojem swym i prawami rządzącymi przerastać musi ustrój społeczeństw pszczoł lub mrówek.

I myślę, iż w niczem instytucja małżeńska nie ucierpi na swej powadze ani trwałości, jeśli w związki małżeńskie wstępować będą kobiety świadome pełni swych ludzkich praw i obowiązków.

Marja Ankiewiczowa.

CZY SZCZĘŚCIE JEST W MIEŚCIE, CZY NA WSI?

Rozwój miast zapoczątkowany w końcu wieków średnich, w wieku XVIII już osiągnął swoją pełnię. Miasta, ściśnięte murami obronnymi miały wąskie ulice i warunki wysoce niehigieniczne. W drugiej więc połowie XVIII wieku wycieńczone życiem miejskim sfery przodujące, zaczęły tęsknić do cichego życia wiejskiego. Zaczyna się wytwarzać specjalny typ letnich rezydencji: Wersal, Sans Souci, Wilanów, gdzie gromadzono bezcenne skarby sztuki i gdzie możni tego świata przebiegając się za pastery, oczywiście z zachowaniem całego przepychu zewnętrznego, z upudrowaniem i ufryzowaniem barankami. zbrojni w laski pasterskie, upiękzone jedwabniami wstęgami, starają się tworzyć wiejską sielanekę.

Wiek XIX — maszyna parowa, elektryczność, motor spalinowy, zaczynają zastępować pracę ludzkich rąk. Tania produkcja podnosi stopę życiową. Miasta rozrastają się w szalonym tempie, pękają okowy murów obronnych, wytwarza się cała nauka o higienie, o potrzebie odpoczynku po pracy. Potrzeba stwarza organ: teatry, zabawy ludowe, kinematografy i t. d. Powstaje wielki ciąg ludzi zrasających dotąd swym potem ziemię,

do miast, do lekkiej pracy, do łatwej zabawy.

Miasto swem gorączkowym życiem, jak moloch pożera dziesiątki i setki tysięcy spokojnych wieśniaków. I tak, jak każda akcja, wywołuje reakcję, tak w wieku XX występuje znów pęd ku wsi. Jest on o wiele racjonalniejszy, niż jego poprzednik z przed dwóch wieków.

Nikommu już nie przychodzi do głowy przebiegać się za fałszywe barokowe pasterki, pasterzy, fryzować i pudrować baranki i t. d., piękno natury jest piękniejsze od każdej sztuki.

Samochód, kajak, wycieczki zbiorowe wyludniają latem miasta. Człowiek staje się przezorny, dba o swoje płuca, nerwy i mięśnie.

Ale czy przez to powinien przestać dbać o swoje szczęście? Czyż wyjeżdżając na lato może zapomnieć, że szczęście śpi zaczarowane w losie loteryjnym. A przecież 16 lipca odbywa się ciągnięcie drugiej klasy — kto w radosnym rozgardjaszu przedwyjezdnym zapomniał kupić, czy odnowić los, niech się zastanowi, jeszcze czas. Odpoczywając po trudach całorocznych nie trzeba mieć myśli zaprzątniętej tem, że przez zapomnienie, zamknęło się drogę szczęściu, które czuwa stale.

OKNO NA ŚWIAT

Pierwsza lotniczka bez nóg

Kobiece nazwiska zapisują się zło-temi zgłoskami w dziejach lotnictwa. Coraz częściej słyszymy o śmiałych wyczynach pilotek, o zdobywaniu nowych rekordów.

Ale chyba żadna lotniczka nie umi-łowała do tego stopnia żeglugi po-wietrznej, jak 20-letnia Kanadyjka, Betty Snell.

Młoda dziewczyna jest kaleką nie-mal od urodzenia. W trzecim roku swego życia przebyła chorobę Heine Medina, wskutek której zupełnie straciła władzę w nogach i jest na zawsze przykuta do fotela.

Pomimo swojego kalectwa Betty Snell skończyła chlubnie szkoły, mar-żąc przez całe swoje krótkie życie o... karierze pilotki!

Swoje marzenie wprowadziła w czyn.

Można sobie wyobrazić ile trudu ją kosztowało szkolenie w szkole pilota-żu. Koledzy pomagali jej wsiadać i wysiadać z samolotu i otaczali kale-kę szacunkiem, niepozabawionym pew-nej obawy, gdy wzbijała się w po-wietrze.

Ale Betty Snell drwiła z ich niepo-koju, twierdząc, że w powietrzu czu-je się o wiele bezpieczniej niż na ziemi i że wierzy w swoją szczęśliwą gwiaz-dę.

Wreszcie zdała upragniony egzamin i obecnie rozpoczyna pracę w charak-terze pilotki na jednej z głównych li-nij lotniczych amerykańskich.

Betty Snell będzie nietylko pierw-szą pilotką bez nóg, ale stanowić bę-dzie jaskrawy dowód, że siła woli i u-parte dążenie do celu mogą usunąć wszelkie przeszkody.

„Postępowe” metody amerykańskie

Jak niezwykle Ameryka otrzaska-ła się z barbarzyńskim „kindnappin-giem”, dowodzi niecodzienny fakt, ja-ki zdarzył się w stanie Oklohama.

W stanie tym istnieje uniwersytet specjalnie dla kobiet i studentki zwró-ciły się do rektora z prośbą o zwol-nienie ich z zajęć na jeden dzień. Gdy spotkały się z odmową, postanowiły uciec się do terroru. Następnego dnia, gdy prof. Howard Taylor, rektor uczelni, schodził ze schodów, spotkał się z wycelowaną lufą rewolweru i kilka studentek otoczyło go ciasnym kołem.

— Ręce do góry, panie profeso-rze — rozległ się nagle groźny głos.

Profesor, sądząc, że idzie o nie-smaczny jakiś żart posłuchał wezwa-

nia, ale w tej samej chwili dziewczę-ta zniosły go ze schodów, wrzuciły do samochodu, który natychmiast ruszył z miejsca. Zdumionemu profes-orowi zawiązano oczy i nie dawano żadnej odpowiedzi na jego pytania. Wreszcie samochód zatrzymał się, zdjęto opaskę z oczu rektora i znowu wymierzono weń rewolwerem.

— Musiałyśmy się uciec do prze-mocy — wyjaśniła jedna ze studen-tek. — Wolny dzień jest nam niezwy-kle potrzebny. Albo otrzymamy zwol-nienie, albo pan profesor pozostanie naszym więźniem.

Rektor musiał zgodzić się na żąda-nia studentek. Wobec tego odzyskał wolność. Nie odmówił sobie jednak przyjemności rzucenia pod adresem młodocianych amazonek kilku ironicz-nych uwag.

— Przysięczenia dotrzymam — o-świadczył — i jestem zupełnie spo-kojny, że dacie sobie radę w życiu.

W pewien czas później dowiedział się, że rewolwer nie był nabit i że dziewczęta nie miały najmniejszego zamiaru więzić poważnego zresztą rektora.

Czy jednak metody gangsterów, któ-re przyswaja sobie społeczeństwo amerykańskie, będą naprawdę po-mocne w życiu, niewiadomo. W każ-dym razie studentki z Oklohamy do-wiodły, że nie cofną się przed niczem, byleby zdobyć upragniony cel.

Paradoks gabinetu L. Bluma

Najgroźniejszymi przeciwnikami równouprawnienia kobiet we Francji, były dotychczas partje lewicowe. Występowały one przeciwko prawom wyborczym kobiet, nie dopuszczały ich do głosu. Nawet partje prawico-we łagodniej obchodziły się z Fran-cuskami.

I nagle niezrozumiały, paradoksal-ny wprost zwrot. W lewicowym rzą-dzie Bluma teki ministerjalne powie-rzono trzem kobietom.

A przecież do tej pory kobieta za-mężna we Francji nie może otrzymać bez pozwolenia męża paszportu za-granicznego, otworzyć konta w ban-ku lub jakiegos przedsiębiorstwa. Kto wie nawet, czy nowa kobieta-minister nie musiała otrzymać od swojego małżonka pozwolenia na objęcie teki?

Jedną z trzech kobiet-ministrów jest córka naszej wielkiej rodaczki, p. Irena Curie Skłodowska Jolliot, dla której utworzono specjalny resort poszukiwań naukowych. Pomimo za-pewnień prasy francuskiej, że pani Jolliot jest nawskroś Francuską, młoda uczona włada w jednakowym stopniu językiem francuskim jak

i polskim, nie zapomina o swojej dru-giej ojczyźnie i stanowić będzie ży-wy łącznik między Francją a Polską.

Dwie pozostałe koleżanki nowego ministra „poszukiwań naukowych” otrzymają teki półministerjalne (pod-sekretarzy stanu).

Francuska nie walczyła dotąd o swoje prawa. Zadawalniała się rolą drugorzędną, nie starając się przedo-stać na forum publiczne. Rząd lewi-cowy L. Bluma powołał ją do życia publicznego, skazując w dalszym cią-gu na zależność od mężczyzny.

Czy tak paradoksalna sytuacja dłu-go potrwa? Czy kobieta - minister zechce w dalszym ciągu zadawalniać się rolą „posłusznej małżonki”? Czy nie zdecyduje się na otwartą walkę, aby osiągnąć należne jej prawa?

Niewiadomo.

W każdym razie powierzenie tek ministerjalnych trzem kobietom, za-waża bezsprzecznie na ich losach.

Kobieta przygotowuje się do lotu naokoło świata

Imię Amelji Earheart jest dobrze znane w Ameryce. Amelja Earheart jest nietylko dzielną pilotką, ale słusznie nosi miano najodważniejszej kobiety na świecie. Ona pierwsza do-konała dwukrotnie samotnego lotu przez Atlantyk. Ona pierwsza przeleciała nad Oceanem Spokojnym. Obecnie zamierza dokonać lotu naokoło świata w towarzystwie... zmechanizo-wanego robota.

— Nie boję się — oświadczyła na łamach prasy amerykańskiej. — A sa-motność uważam za moją najmilszą towarzyszkę.

Amelja Earheart jest bardzo po-dobna do drugiego bohatera przestwo-rzy, amerykańskiego płk. Lindbergha i dlatego nazywają ją „Miss Lindy”, przydomek, z którego lotniczka jest niezmiernie dumna.

Młoda pilotka jest profesorem w słynnym amerykańskim „uniwersyte-cie lotniczym”, który urządził swoją aulę na wysokości kilku tysięcy me-trów. Naturalnie „wykłady” są tylko praktyczne, a uczniowie pod kiero-wnictwem doświadczonej lotniczki, czynią ogromne postępy.

Miss Lindy leci na dużym samolo-cie, w którym swobodnie zmieścić się może 10-ciu pasażerów i dwu pilotów. Leci jednak sama. Bo „lubi samot-ność”, jak oświadczyła w wywiadzie. Projektuje ona przebyć przestrzeń, wynoszącą 34 tys. klm., co powinno zająć jej 5 dni i 20 godzin czasu. Gdyby zamierzenia lotniczki zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem, zdo-błyby ona rekord świata.

Rekordowe pisanie na maszynie

Rekordową maszynistką jest naturalnie Amerykanka, p. Hortensja Sollnitz. Nie przypomina w niczem pięknych amerykańskich girlsów, które w dużej ilości eksportuje film amerykański. Posiada natomiast najszybsze palce na świecie. Stawała już wielokrotnie do konkursów szybkości pisania na maszynie i do tej pory zdobywała zawsze palmę pierwszeństwa.

Miss Stollnitz wystukuje około 10.000 zgłosek na godzinę, co stanowi blisko 20 stron. Tempo pisania na maszynie nie ustępuje w niczem stenografii. Przytem nie robi nigdy błędów maszynowych, nigdy się nie myli, w jej maszynopisie nie znajdzie się ani jeden błąd ortograficzny. Jest więc idealną maszynistką.

Naturalnie Miss Stollnitz zaasekurowała swoje ręce na ogromną sumę pieniędzy i stała się niezwykle popularną nie tylko w San Francisco, gdzie stale mieszka, ale w całej Ameryce.

Fenomenalna maszynistka pisze wszystkimi 10-ma palcami, co pozwala jej w niezwykle szybkim tempie zmieniać wiersze, strony i t. d. Palce jej zostały zbadane przez ekspertów, którzy orzekli, że posiadają pięciokrotną sprawność palców normalnej stenotypistki. Miss Stollnitz nigdy się nie namyśla, nie waha ani chwili. Wystukuje najtrudniejsze wyrazy z niebywałą sprawnością i nigdy nie skarży się na zmęczenie.

Jednakże sława, jaką cieszy się rekordzistka, nie wystarcza ambitnej Amerykance. Pragnie jeszcze udoskonalić pisanie na maszynie i pobić własny rekord. W tym celu zajęła się specjalnym treningiem, który, według jej zdania, podniesie sprawność pisania na maszynie o 170 zgłosek na minutę.

Prasa amerykańska jednak zamilcza, czy Miss Stollnitz nie posiada innych dążeń poza zdobyciem rekordu szybkości pisania na maszynie. I czy stukanie w niebywałe tempie w białe klawisze, stanowi jedyny cel jej życia.

Moda narodowa we Włoszech

Il duce interesuje się wszystkimi zagadnieniami życia we Włoszech. W krąg jego zainteresowań wchodzi nawet tak pozornie mało ważna sprawa, jaką jest moda na stroje kobiece.

Niedawno powstała w Turynie specjalna komisja urzędu mody, która postanowiła zająć się stworzeniem narodowej mody włoskiej na stroje

kobiece. Do tej pory wydała ona 3.500 patentów na modele sukien, płaszczy i kostjumów, dostarczone przez 300 włoskich domów mody.

Modele te są pochodzenia ściśle włoskiego. Mają one zastąpić wszystkie modele zagraniczne. Bo akcja przeciwsankcyjna objęła również i dziedzinę mody. Już od szeregu lat Włochy starają się wyzwolić z niewoli mody paryskiej. Pierwszorzędne domy mody zatrudniają szereg wybitnych artystów, którzy projektują modele o charakterze narodowym.

Czy jednak włoskie modele przyjmą się wśród elegantek w Rzymie, Florencji i Turynie? Czy pozornie, ulegając presji „zgóry”, nie będą wzdychały do lekkich, powiewnych arcydzieł mistrzów paryskich?

Nie jest to wykluczone. Ale nikomu nie przyjdzie nawet do głowy przeciwstawić się rozporządzeniu Mussoliniego. Bo il duce przyzwyczaił swoich rodaków do bezwzględnego posłuszeństwa.

Argus

Miss Viola Smith

Miss Viola Smith, attaché handlowy amerykański w Chinach, bawiła przez kilka dni w naszej stolicy, jako gość p. inżyniera Okęckiego, z którym pracowała przy budowie dróg w Chinach.

— Pod kierunkiem inżynierów Chińczyków, którzy kształcili się w Stanach Zjednoczonych i w Europie (jeden z nich w Polsce) wybudowano w Chinach w przeciągu ostatnich 4 lat 50.000 km. szos — mówi Miss Smith. — Są to po największej części drogi żwirowe, których nawierzchnia ubita jest z drobno tłuczonego kamienia; są bez porównania lepsze od naszych kocich łbów i wielokrotnie tańsze od szos asfaltowych. Środek przeznaczony jest dla pojazdów mechanicznych, boki dla wozów.

Kraj ten zawdzięcza pewne względne uspokojenie i względną stałość stosunków politycznych w znacznej mierze rozumnej polityce drogowej rządu. Dla dopięcia swych celów rząd chiński uciekł się do bardzo energicznych środków. Całe bataliony żołnierzy zatrudniono przy budowie dróg; uciekinierzy z okolic, zagrożonych klęską głodową, wzamian za otrzymywaną strawę wykonywali pracę na szosach; w niektórych częściach kraju wszystkich mężczyzn od lat 18 — 45 mobilizowano do budowy dróg.

Macie przecież w Polsce wykwalifikowanych inżynierów, rąk roboczych poddostatkiem, więc napewno w krótkim czasie stan dróg dozna wielkiej



WODY KOŁOŃSKIE
i KWIATOWE

TRWAŁE SUBTELNE ZAPACHY

F. PULS. S/A

poprawy, a tem samem rozwinię się motoryzacja, która, o ile zdołałam zauważyć, stoi w Polsce na niskim poziomie — kończy Miss Smith.

Przechodzimy do tematu, który powinien żywo zainteresować czytelniczki „Tygodnika Kobiety”.

— A stanowisko kobiety w Chinach — zapytuję — czy w dalszym ciągu jest upośledzone?

— O upośledzeniu kobiety chińskiej nie można mówić — uśmiecha się Miss Smith — skoro matka względnie teściowa posiada w rodzinie chińskiej wielką władzę. W ostatnich zaś czasach emancypacja Chinek robi olbrzymie postępy. W Chinach jest kilka wielkich kolegów, w których Chinki otrzymują wyższe wykształcenie; i które dały już krajowi wybitne lekarki i pedagogiczki. Dyrektorką i założycielką jednego z wielkich banków chińskich jest kobieta.

— Kobiety na całym świecie — mówi moja interlokutorka — zajęły nowe placówki i doskonale wypełniają włożone na siebie zadania. To zaś, co słyszę o wielkich zwyciężkach kobiet polskich we wszystkich dziedzinach, a szczególnie na polu literatury, napawa mnie wielką radością.

B. Adamska

Przygotowania do kongresu polityczno-obywatelskiej pracy kobiet

W Warszawie toczą się prace organizacyjne w przygotowaniu do kongresu polityczno-obywatelskiej pracy kobiet. Przewodnictwem komitetu organizacyjnego objęła Pani Marszałkowa Aleksandra Piłsudska.

Celem kongresu jest zobrazowanie całokształtu działalności kobiet w Polsce Odrodzonej od roku 1918 do 1936 włącznie, oraz ustalenie wspólnych wytycznych ideowych i metodycznych dla prac politycznych społecznych, gospodarczych i oświatowo-kulturalnych.

Projekt zwołania kongresu powstał z inicjatywy Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet przy ścisłym współ-

działaniu Unji Polskich Związków Obrończyni Ojczyzny, t.j. zrzeszonych stowarzyszeń Ligi Kobiet, Stowarzyszenia b. Strzelczyń, b. Drużyniaczek, b. Peowiaczek, b. Kurjerek, członkini b. Sekcji Propagandy i Opieki, Koła Polek, Związku Broni, Stowarzyszenia „Rodzina Wojskowa”, Głównej Kwatery Harcerki ZHP, Organizacji Przysposobienia Wojskowego Kobiet do Obrony Kraju, Czerwonego Krzyża, Białego Krzyża i Stowarzyszenia Zjednoczonego YMCA — Stowarzyszenia Kobiet z wyższym wykształceniem i Rodziny Policyjnej.

Kongres przewidywany jest w Warszawie w połowie 1937 r.

W sprawie VII Kongresu M. F. K. z U. W.

I. Organizacja Kongresu.

W dniach od 23-go sierpnia do 1-go września odbędzie się w Krakowie VII Kongres Międzynarodowej Federacji Kobiet z Uniwersyteckim Wykształceniem, pod Wysokim Protektorem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

Prace przygotowawcze do Kongresu prowadzone są przez Główny Komitet Organizacyjny w Warszawie, zajmujący się całokształtem spraw kongresowych i Lokalny Komitet Krakowski.

II. Komitet Honorowy.

Do Komitetu Honorowego zostali zaproszeni: p. Minister J. Beck, p. Minister Prof. Świętosławski, p. Mini-

ster Wł. Raczkiewicz, p. Wojewoda Krakowski, pułkownik Gnoiński, p. Prezydent Miasta Stoł. Krakowa Dr. Kaplicki, Rektorowie wszystkich Uniwersytetów Polskich, obydwu Politechnik, Akademii Górniczej w Krakowie, Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, oraz profesorki Uniwersytetów Polskich.

III. Miejsce obrad.

Kongres zasiadać będzie w gmachu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Otwarcie Kongresu nastąpi w auli Collegium Novum. Na okres trwania Kongresu otwarta będzie wystawa sztuki zdobniczej, wystawa graficzek, oraz wystawa pedagogiczna, w związku z głównym tematem dyskusyjnym na Kongresie.

IV. Porządek dzienny.

Porządek dzienny zjazdu obejmuje poza sprawami organizacyjnymi, szereg wykładów naukowych, dyskusja na temat „Co może zrobić M.F.K. z U.W. dla przygotowania młodego pokolenia do współpracy międzynarodowej”, oraz zebrania grup specjalistek poszczególnych zawodów.

V. Dzień Polski.

Jeden dzień, t. zw. „Dzień Polski”, poświęcony będzie przemówieniom członkini Polskiego Stowarzyszenia Kobiet z Wyższym Wykształceniem, które zjazd urządza. Tematem wykładów będą zagadnienia zarówno ściśle naukowe, jak i literackie.

Głós zabiorą: Dr. Łucja Charewiczowa (historja prasy kobiecej), Dr. Alicja Dorabalska (o budowie materji), Dr. Patkaniowska, asyst. Prof. Dybowski (studjum porównawcze w literaturze anglo-saskiej i polskiej).

VI. Członkinie Kongresu.

Zgłoszenia na Kongres z zagranicy i Polski są bardzo liczne. Większość delegatek zagranicznych reprezentuje świat anglo-saski. Przybywają delegatki z tak odległych krajów jak Australia, Południowa Afryka, Nowa Zelandja, Indie, Brazylja. Wśród zgłoszonych delegatek znajduje się kilkanaście wybitnych uczonych profesorów Uniwersytetów Europejskich i Amerykańskich.

VII. Wycieczki.

Po Kongresie projektowane są wycieczki do Warszawy, Wilna, Gdyni, Białowieży i Lwowa.

Odbędą się również wycieczki do Zakopanego, Morskiego Oka, Pienin, Ojcowa i Wieliczki.

HISTORIA HELKI

I.

Niedziela i poniedziałek

Park Skaryszewski tonie w złocie. Szeleszczą po ścieżkach suche, kolorowe liście. Żłota brzoza przegląda się w spokojnej tafli stawu, żółta topola zastygła w zadumie. Po koronach drzew ześlizguje się szybko jesienne słońce — zachód. Jakaś dama, zatulona w futro entuzjazmuje się głośno do towarzysza:

— Patrz, cudnie...

Ale Helka, skulona pod świerkami, na ławce, nie przyznaje racji pięknej pani. Co mi z tego, że słońce zapala ogniem powiędłe liście! To jesienne słońce już nie rozgrzeje zziębniętych rąk... Podarte trzewiki wsysają wil-

goć z ziemi, br... trzeba rozprostować plecy i wracać do domu. Do domu? Czy Helka ma dom? Czy można tak nazwać kąt z siennikiem w mieszkaniu tej wędźny. Kosowej? Jeszcze za progiem słyhać jej pijany, ochryply głos, tłuczenie garnkami, przekleństwa. Jakiż to los dał Helce za opiekunkę tę okropną, zmarnowaną życiem, kobietę? Od dziecka musi patrzeć w obrzękłą, szeroką twarz, w chytre, zapite oczy. Od dziecka musi słyhać urażeń i wyśmiewania sąsiadek, znajomych:

— Jak tam twoja ciotunia? Pije zdrowo?

— Co ona właściwie robi? Czem zarabia na chleb, na wódkę?

Helka nauczyła się nie odpowiadać. Helka nauczyła się pokazywać ludziom zacięte usta i zimne oczy. A w domu, w swoim kącie płacze do utraty tchu, na słomianą poduszkę wylewa cały żal rozgorzonego serca. Jeżeli Kosowa jest w domu, nie można nawet płakać. Zaraz rozlega się na piętrze krzyk:

— Co ci to źle? Krzywdzę cię, podrzutku?

Podrzutek — podrzutek — to słyssało się codziennie. Obelżywe, wrogie słowo. Dla Helki nie było miejsca na świecie. Nie mogła nawet mieć żadnych pragnień. A przecież razem z latami wzbierały w duszy tęsknoty za dobrem i ciepłem, za uśmiechem i ko-

chaniem, za wszystkim co łagodne i piękne. W podświadomości budziły się wspomnienia: czy też wyobrażenie wspomnień: błękitne oczy wpatrzone z czułością... oczy matki?... serdeczne utulenie ramion... ramion matki?...

Kiedyś Helka odważyła się spytać Kosowej:

— Ciotko... a kto była moja matka?

— Masz ci! Kto miała być? Królowa? Była to była. Ale niema. Umarła.

— Umarła?

— No!

— A mnie stara Rybalska mówiła że....

— Słuchaj, słuchaj co ci stara wariatka gada! Nie wiesz, że głupia? Widzisz ją, w kogo się wrodziła chce wiedzieć! podobnaś, podobnaś jak dwie krople wody! Taki sam z ciebie numer, jak...

— Cicho! Nie mów już! Nie chcę!

— Delikacik! Hrabianka! Rodowodu się jej zachciewa! Cóż to, książę się oświadczył i żąda paszportu?

Helka już nigdy więcej nie mówiła o matce. Myślała zato często, codziennie. ładnie i tliwie. Przeglądając się w lusterku:

— Mam duże, niebieskie oczy, jak ona...

Haftując mereżkę:

— Mam długie, białe palce jak ona...

Długie palce, białe dłonie czerwieniały od zmywania garnków, noszenia wody, szorowania podłogi. Wiotkie ramiona pochylały się zmęczeniem narząd, śliczne, niebieskie oczy podbiła obwódka wyczerpania. Tylko jasne, puszyste włosy kręciły się figlarnie i szeroką falą wylewając się z pod beretu zwracały uwagę przechodniów.

Koleżanki ze szwalni zazdroszczą Helce tych włosów. Chociaż jednego można jej zazdrościć!

Koleżanki ze szwalni—współtowarzyszki niedoli. Ileż wśród nich cierpienia przygód, najserdeczniejszych dramatów!

Taka Krystyna, na przykład. Już wszyscy wiedzą, że jest w ciąży. Ale powiedziała, że dziecka nie wyrzeknie się za żadne skarby świata, że miłość mężczyzny może stracić, ale dziecka nie. Co się z nią stanie? Lada dzień pani Rutkowska wymówi jej posadę. Biedna Krystyna. Albo Lodka. Tak się cieszyła na swój ślub, żyła jak nieprzytomna od szczęścia miłości, a tymczasem narzeczony jej stracił posadę, z rozpaczy dopuścił się jakiejś kradzieży, teraz odsiaduje więzienie. O, dużo trzeba przecierpieć w życiu za odrobinę lekkomyślności, za zbyt gorące uczucia, za samą tęsknotę do szczęścia...

Szczęście... Czy kwitło ono gdzieś

dla Helki? Gdzieś, na dalekich, pachnących łąkach?

Złoty liść zakołysał się w powietrzu i musnął łagodnie jasne pukle włosów. Drugi obsunął się po wytartym suknie palta. Pod stopą trzeszczały grudki żwiru. Helka wsunęła zziębnięte dłonie w rękawy, przeszły ją dreszcze Późno. Park wypełniają sine cienie zmierzchu. Od wody ciągnie przejmujący chłód. Kończy się nieczciła, dzień smutnych rozmyślań. Jutro od rana praca, jak codzień w szwalni.

Po moście dudnią tramwaje. Zdaleka huczy miasto. Za oknami pada deszcz. W ciasnym pokoju terkoczą maszyny, dwie zwyczajne i trzecia okrutkowa. Pani Rutkowska, właścicielka magazynu mód walczy z manekinem, wychodzi do klientek, krzyczy przez zaciśnięte w zębach szpilki:

— Dlaczego różowa nie sfastrygowana?

— Jak ty robisz zakładki?

— Dlaczego Krystyna się spóźnia?

— Nie gadać, tylko szyć!

Łatwo powiedzieć: nie gadać! Ledwie się zamkna drzwi od „salonu“, dziewczyny otwierają usta:

— Coś taka mizerna, Helka? Stara dokucza?

— Co się stało?

— Nie zmrużyłam dziś oka...

— Kosowa wróciła skądciś zupełnie pijana... Mówiła od rzeczy... coś okropnego...

— Lodka, masz jakie nowiny?

Malutka, czarna głowa pochyla się nisko nad jedwabiem.

— Same złe...

— A wiecie co? Wczoraj moją matkę zabrali do szpitala, będzie operacja... Już mi życie zbrzydło!

— Mój Felek dostał miejsce na budowie...

— Wczoraj podzelo wałam sobie buty, trzy złote... wełniane rękawiczki — dwa, sklepik za życie dziesięć i już do całej pensji...

— Wiecie wczoraj byłam w kinie!

— Burżujka!

— Wuiek mnie wziął!

— Znamy tego wujka!

— No, nie czepiajcie się, bo jak powiem do słuchu!

— Dajcie jej spokój, dobrze robi! Tylko nabierać! Taki świat! Co udawać niewiniątka!

— Nie każdej tak lekko, jak tobie!

— Cicho... ktoś idzie...

— Nie, to Krystyna...

Drzwi uchylały się ostrożnie. Szare palto, wyokraglone na brzuchu wsunęło się pocichu do pracowni.

— Gniewała się?

— Uhm. Trochę. Co z tobą?

Krystyna przesunęła dłonią po oczach, jakby chciała zgarnać z myśli troskę. Ledwie zdążyła przysiąc do roboty, gdy weszła pani Rutkowska.

— A, jesteś nareszcie. Myślałam,

że masz lepszą posadę. Bo w takim razie proszę bardzo! Każdej chwili możesz być wolna!

— Ja bardzo panią przepraszam... ja...

— Tłomaczenia niepotrzebne. Praca, to praca. Teraz praca to dobrodziejstwo dla człowieka. Kto jej nie szanuje, ten... Lodka, jak ty pracujesz, na litość boską? Materiał pocięty w dwóch miejscach! Oczu nie masz!? Władzia, otwórz, ktoś dzwoni do frontu... pewno pani Majewska! A przymiarka gotowa? Naturalnie, że nie! Bo Krystyna raczyła się spóźnić! I znowu będzie awantura!

Rutkowska jak burza wypada z pokoju. Przyzwyczały się już do tych krzyków. Najgorsza nie jest, ale sama nielekkie ma życie. Wdowa, trzech synów wychowuje, jeden chory na płucą. Nic dziwnego, że czasem za dużo powie w złości.

— Krysia, czego się spóźniasz? Jeszcze wylecisz...

— Bo wiecie, latałam za ogłoszeniem, żeby być pierwszą...

— Co było?

— Panienska do czytelnicy... Lepiej płatne... Ja przecież tu parę groszy dostaję, nie? A muszę teraz myśleć i o...

— No i co? Umówiłaś się?

— Gdzietam. Już pięć czekało. Już przyjęli. Tylko zmokłam i spóźniłam się...

— Z miłym się widziałas?

— Daj spokój. Taki on miły. Wściekły pies!

Helka obserwuje zacięte usta koleżanki. Jest w nich złość, ale i siła. Jakaś pogarda i wyższość dla drobnych spraw. Hela odczuwa szacunek dla Krystyny. To trudno rzucić całemu światu śmiałe wyzwanie: oplwajcie mnie, a ja nie ustąpię! Ja się nie dam! Czy długo jeszcze będzie taka spokojna i energiczna? Biedna Krysia. Gdyby jej można pomóc! Gdyby wyprowadzić ją na jaką słoneczną drogę! I to małeństwo, które zobaczy świat — czy musi, musi się nazywać tak wstętnie? A może znów zostanie podrzutkiem, jak kiedyś Hela? Chyba nie. Z oczu Krysi promieniuje miłość. A ty, nieznaną matko, czy nie kochałaś mnie wcale?...

— Helka, coś się nadeła, odpowiedz.

— E!

— Będzie lepiej!

— Kiedy? Życie jest...

Lodka krzyknęła nagle nagłos:

— Życie jest podłe, psia krewo!

Heli zrobiło się przykro, jak zawsze, gdy słyszała przekleństwa. Nie wiadomo dlaczego chciała teraz, na poczekaniu wynaleść jakieś dobre słowa i obietnice, które mogłyby choć na chwilę ułagodzić rozdrażnienie tych biednych dziewczyn. Ale słowa nie przyszły, tylko nieproszone łzy bez-

radności, współczucia i krzywdy. Trzeba było ukradkiem wytrzeć te łzy, bo do pracowni wróciła Rutkowska.

W salonie musiały być jakieś grymasy i pretensje bo krawczyni aż poczerwieniała z irytacji i pasji hamowanej przed klientką.

— Krystyna, sięgnij no z półki pudło z tiulem... prędko...

Zanim która zdążyła ją wyręczyć, Krysią weszła na stołek, wyciągnęła ręce do góry, nagle zachwiała się i upadła jak długa. Zamiast krzyku, zaległa w pracowni sekunda ciszy.

W Heli zamarło serce z przerażenia. Krystyna zajęczała boleśnie. Pani Rutkowska już zaczęła potok wy mówek:

— Niezdara, uważaj, czy...

Ale dziewczęta jak obudzone zerwały się z ławki.

— Krystyna! Na miłość Boską!

Popatrzyła na nie z bolesnym uśmiechem, próbowała się podnieść. Blade wargi wyszeptaly:

— Nic, nic mi nie jest...

— Nic jej nie będzie! Wracajcie na miejsca! Będzie drugi raz uważała! Gapa! Stołowe nogi! Ptaszek ołowiany!

Naraz przeraźliwy jęk rozdarł powietrze. Twarz Krysi zbladła, poszarzała. Helka zcisnęła przed Rutkowską pięści:

— Pani! Pani! Przecież ona... Jezus Marja! Dziecko!

Pani Rutkowska zadławiła się w pół zdania. Spojrzała po dziewczynach jeszcze nierozumiejącym wzrokiem. A potem jak nie krzyknie:

— Władzia, telefonuj po pogotowie! Z cukierni najbliższej! Hela, Lodka, nieście ją do mnie na łóżko... Boże drogi... skądże ja mogłam... prędej, ostrożnie... cicho, Krysiu cicho...

Z pudełka wysypały się kolorowe tiule. Na podłogę zsunęła się z rąk Rutkowskiej jedwabna materja.

Hela płakała.

II.

Szukam Pracy.

„Potrzebna zdolna manicurzystka”.
„Potrzebna pomocnica domowa”.
„Młoda do opieki niedołącznym”.

W dzisiejszym porannym tylko te trzy zaofiarowane posady.

Hela jeszcze bliżej przysuwa twarz do szyby, za którą wywieszono pismo. Może znajdzie jeszcze coś. Nie, niema.

Hela od tygodnia jest bez posady. Pani Rutkowska musiała ze względów oszczędnościowych zwolnić trzy pod ręczne. Pierwsza Hela, najmniej zdolna do szycia. Teraz musi znaleźć jakieś miejsce. Kosowa robi straszne awantury, nie można wytrzymać. Zimno, nadeszły mrozy, trudno chodzić po ulicy. Hela biega do różnych mieszkań — podług adresów ogłoszeń, ale

wszędzie albo zajęte, albo za młoda, albo potrzebne świadectwa. Już braknie sił i cierpliwości. Czasami nie wiadomo, jakie złe myśli przychodzą do głowy! Doprawdy, że jesienne wieczory i noce, które spędziła przy Krystynie w szpitalu — były miłym wspomnieniem ciepła i czystości. Tylko, że wtedy cierpiało się razem z koleżanką, o to utracone małenstwo. Właściwie czy takie tragiczne zakończenie „sprawy” — nie było rozwiązaniem trudnej sytuacji? Czy należało żałować, że jeden podrzutek... że... Nie, Hela nie potrafiła rozstrzygnąć tych wątpliwości. W każdym razie serdecznie współczuje Krystynie — dla niej życie straciło treść. Bardzo smutna i mizerna wróciła do szwalni na Solcu. A Hela szuka pracy. Pójdzie teraz na Chmielną...

Obce schody, obce drzwi.

— Przepraszam, czy tu potrzebna panienka do chorego?

— Nie.

— A było ogłoszenie...

— Było, ale już przyjęta.

I znowu inne schody, ładne, rzeźbione drzwi.

— Przepraszam, ja z ogłoszenia...

Przepuszczono przez próg.

— Proszę tu zaczekać.

Jaki ładny pokój! Ciepło, kwiaty, błyszczące meble. Wszystko żyje sobie spokojnie, jakby oddychało równo, łagodnie. Takie mieszkanie samo dla siebie ładne — ale zimne. Na ścianie portret damy. I drugi, inny. Obydwie śliczne...

— Panienka do zgody?

Bystre oczy eleganckiego mężczyzny taksują szybko: biedna zaniedbana, na wszystko pójdzie... młoda, oczy ładne, zgrabne nogi, włosy puszyste... niczego...

— Panienka gdzie służyła?

— Nigdzie, ja tylko w magazynie mód...

— Mniejsza z tem... Umiesz gotować, moje dziecko?

— Ja... nigdy, ale...

— Ale się nauczysz... Wszystkiego można się nauczyć...

Hela czuje się dziwnie onieśmielona. Obcy pan podszedł blisko, pachnie mocno wodą kolońską.

— Ja z ogłoszenia, jestem bez pracy... Pomocnica domowa potrzebna? Ja się nauczę jak pani mi pokaże, proszę mnie przyjąć, jestem bardzo chętna...

— Chętna, to już dobrze...

— Widzisz, tu pani niema... ja sam...

— Tak? A dzieci?

— Jakie dzieci? Ile panienka ma lat?

Nieprzyjemnie śmieje się ten elegancki pan. Patrzy w oczy przenikliwie i źle. Bierze pod brodę poufałym gestem:

— Pierwsza posada? Co?

Panie z portretu uśmiechają się ironicznie. Helę ogarnia lęk. Boi się tego salonu i właściciela. Nie, nie. Ona tu nie zostanie za żadne skarby. Tu coś czyha, tu grozi jakieś zło...

Ucieka prędko po białych schodach w dół. Więc to tak, więc tak... Władka miała rację, gdy opowiadała...

Na ulicy ruch. Ludzie tłoczą się w przejściach, przy wystawach. Samochody nie przestają ujadać. Mały chłopak krzyczy na całe gardło:

— Dodatek nadzwyczajny...!

Głośnik radiowy w jakimś sklepie śpiewa tęskną melodię.

Hela nie może słuchać muzyki — wzbiera w niej szalona tęsknota za niepoznanym dobrem. chce się płakać na cały głos.

Jestem sama, sama na całym świecie. Wszystko wrogie i obojętne. Niema ani odrobiny światła.

— Helka, jak się masz! Co chodzisz ze spuszczoną głową?

To koleżanka ospowała Władka. Także bez nosady, zwolniona od Rutkowskiej. Ona zawsze jakoś, cudem świętym zachowuje humor i energję:

— Masz co?

— Nie.

— Biegaj zaraz Szopena osiem... ogłaszali się... Bvłam. Miły dom. Chcą pokojówki. Tylko, że ja zabrydka, uważasz... Ciebie napewno wezmą, tylko wal prędko i rób ważną!

— Dziękuję ci, ale wiesz, oni tylko...

— Nie gadaj! Pooróbuj tam, radzę ci! Pa! Dowidzenia!

Hela nieśmiało stuka do kuchennych drzwi. Wita ją życzliwe spojrzenie starej kucharki, jasność i ciepło.

— Zaraz powiem pani... proszę poczekać... Niech panienka siądzie...

— Dziękuję.

W kuchni jest przestronnie czysto, biało. Znacznie przyjemniej niż w salonie tamtego pana... Heli wydaje się, że z półki uśmiechała się do niej wypucowane garnuszki. Nabiera odwagi. Zostaje przeprowadzona przed oblicze pani domu. W pokoju jest półmrok, pozawieszane ciężkie portiere. Pachną mocno perfumy. Pani siedzi na fotelu, iakbv zmęczona, apatyczna. Ma siwe skronie a wyłada jeszcze młodo. Zwłaszcza oczy duże, ciemnoniebieskie zachowały cały blask młodości.

— Właśnie proszę szanownej pani, ja z ogłoszenia...

— Wiem, dziecko. Ile masz lat?

— Osiemnaście.

— Osiemnaście? Napewno?

— Tak... Ale mam dosyć siły...

— Ach nie o to chodzi...

Pani przesuwa dłoń po oczach.

— Jestem taka zmęczona... głowa mnie boli... Więc Janowa mówi, że ona może zostać...

— Ja myślę, to się zobaczy... Byleby tylko paniczowi znowu...

W ciemnym kącie pokoju coś się poruszyło. Dopiero teraz Hela spostrzegła, że obserwuje ją druga para oczu. Tembardziej straciła odwagę aby „trzymać fason”.

Na szczęście „ktoś” raptownie wstał z fotela, szepnął do pani domu parę słów po francusku i wyszedł z pokoju.

Hela poczuła to odejście jak wielką ulgę i jak żal. To było bardzo nowe i dziwne uczucie. Dziwnym wydał jej się również cały ten dom — od kuchni jasny, a tu ciemny. Głos kucharki

ciepły i równy — pani urywany i chłodny.

— Więc co to ja chciałam... ach, to dobrze... Niech Janowa wszystko jej opowie... ile dajemy, jaka praca... Dla mnie będzie dobrze, jeżeli potrafisz być cicha i grzeczną... Potrafisz? Czy nie masz, dziecko, lepszego palta? Musisz nosić białe fartuszki...! wo, trzeba o tem pomyśleć... Proszę, żebyś chodziła cicho i nie trącała mebli. Ostatnia była dobra dziewczyna, tylko strasznie hałaśliwa, więc dlatego... i będziesz przyjmować telefony... Zgadzasz się? Proszę teraz wyjść za Janową... Jeżeli ją umówisz, Janowo, to nie wpuszczajcie już nikogo... Pa-

nicz powiedział, że ma ładne włosy, rzeczywiście... wogóle miła... dowiedzenia!

Taka była pierwsza rozmowa Heli z nową chlebodawczynią. A na drugi dzień miała już posadę, miała malusi, własny pokoik, własne łóżko, ciszę do snu. Błogosławiła Władkę, że namówiła ją do przyścia tutaj, błogosławiła dzień, w którym mogła rzucić kąk u Kosowej. Pobiegnęła nawet na Solec, pochwalić się przed dziewczynami: taka lekka praca, trzydzieści złotych i życie! Cieszyły się z nią razem. Rutkowska pogłaskała po głowie:

— Szczęść ci Boże.
(D.c.n.) *Jadwiga Korczakowska*

PRZEZ WĄSKIE DRZWI

Do willi Gabryela D'Annunzio, Carnacco, prowadzą wąskie drzwi, aby, jak mówi D'Annunzio, „nie mogli się tu wślizgnąć ludzie grubi, niezdolni do odczucia sztuki, poezji i miłości”.

Wąskie drzwi, broniące wstępu do willi Carnacco, są symbolem innych jeszcze drzwi, które natchnione ręce tylko otworzyć umieją. Ludzie, kroczący utartym szlakiem powszedniości, nie przekraczają nigdy wąskich drzwi, zamykających świat sztuki, która jedna tylko jest symbolem piękna absolutnego. Do ludzi, którzy nigdy nie przestępują progu wąskich drzwi należy świat, potworny w swej szacie użyteczności, w którą go oblekł rozum ludzki. Stokroć potworniejszą jest ta szata użyteczności, w którą rozum przystroił świat, od ziemi nagiej i kamienistej, porosłej cierniem i haszczami, którą zostawił Bóg ludziom ze słowami: „W krwawym poście odtąd pracować będziecie...” I zaiste byłby świat tak smutnym, jak użyteczność i powszedniość sama, gdyby na tej ziemi szarej i kamienistej, której ciernistym gościńcem kroczył pracujący człowiek, nie zjawił się z oczyma widzącymi wskroś, natchniony artysta i nie uchylił wąskich drzwi kryjących wszystkie cuda których daremnie szukano na wyboistej drodze pokuty. W natchnionem ręku artysty dźwięk, ton i barwa odkryły

świata jego tajemnice. Życiem zadrgały przedmioty martwe i nieme. Ożyły głębiny morskie i leśne, stopy i powietrze. Żywiły płynne, wiatr, ogień i woda zatraciły martwość i własną ukazały duszę. Cudowna moc fantazji otoczyła urokiem wszystko co uroku tego było pozbawione. Zaludniła świat miljonem istnień nigdy nieistniejących. Wypiękniała legendą szpetotę zjawisk codziennych. Wszepochętą fantazja artysty zakłęta zbłąkane, sponiewierane marzenia, strzępy pragnień, błyski przeczuć w baśń, kształt, melodię. Niezniszczalnością piękna pokonała w dziełach swych czas, przestrzeń i śmierć samą. Potęga sztuki znalazła klucz do wszelkich tajemnic świata i bezsensowi zjawisk dała sens piękna.

Głębiny lasu dały przytułek brodatym krasnoludkom. Zdradliwe wody topieli ożyły istnieniem zielonookiej Wodnicy. Dziwożony przebiegły lekką stopą uroczyska, a upiory zjawiły się na cmentarzach i ukazały na sabbatach przeklętych. I ułuda, którą stworzyła fantazja poety, pokonała świat, rzeczywistość. Uwierzono czarom, duchom i złym siłom, a na stosie palono czarownicę, co złą mocą usidlała serce i znała leki na miłość. Tęsknota miłosna stworzyła motyw szklanej góry, na którą złotem podkuty diabeł, którego królewiczowa miłość uskrzydli, wespnie się po niebo-

tycznej szklanej ścianie. Udręka duszna gnać będzie na Monsalvat rycerzy, w ekstatycznym uniesieniu szukających Graala. Bo aureola uroku otoczyła zarówno miłość, jak wyrzeczenie. Dusza artysty oblokła blaskiem piękna wszystko, miłosnem objęciem ogarniając świat cały i nieskończoność jego zjawisk. Miłosierna wyobraźnia poety zlitowała się nawet nad djabełlem samym, ubrała go w zielony kubrak i kazała mu karety wyciągać na bezdrożu w noc bezksiężycową. Na Łysej Górze bezużyteczne stare jędze, zmienione cudem fantazji w możne czarownice, uczyły wyprawiają i kominem na miotle w świat wylatują. Dusza artysty zmieniła świat przejmując użyteczny i rozumny, w świat najpiękniejszy, do którego aby się dostać, trzeba przekroczyć wąskie drzwi, otwierane kluczem sztuki i poezji.

Kto raz przekroczy wąskie drzwi gubi drogę pewną, o której wiadomo skąd idzie i dokąd prowadzi, a zaczyna błądzić do światec niemającym dróg stałych. Błądząc szlakiem sztuki i poezji, nie będzie rozkoszy, którejby nie zaznał i nie będzie bólu, któryby mu był oszczędzony. Znajdzie tam bowiem wszystko co mieści najwyższe szczęście i ból najostateczniejszy, piękno samo, które zadaje kłam rzeczywistości.

Jadwiga Żylińska.

Punktualnie wpłacona prenumerata to podstawa rozwoju pisma!

Prosimy Panie Prenumeratorki o wpłacanie bieżących i regulowanie zaległych prenumerat

Kilka słów o Hannie Malewskiej

Hanna Malewska — literatka i nauczycielka w jednej osobie łączy dwa różne zawody umiejętnie i korzystnie. Pióro uniezależnia materialnie dzięki szkole; szkołę traktuje jako teren obserwacji życia.

Mimo wszystko sprawa scharmonizowania dwu zupełnie różnych prac nie jest łatwa. Życie szkolne i praca literacka przeszkadzają sobie w znacznym stopniu. „Gdyby ani na moment — mówi Malewska — człowiek nie zdezercerował myślowo od wszystkich swych obowiązków, nie powstałaby nigdy powieść. Pomysł jej zjawia się pod wpływem zewnętrznej pobudki — tak bywa u mnie. A właściwie jej narodziny, nanowo, z niczego odbywają się w głowie mocno otumanionej i zrzekającej się na ten czas kontaktu ze światem. Choćby powieść była wiernym odtworzeniem historycznych postaci na tle epoki, jeśli chce być powieścią, genezę musi mieć zupełnie podobną do bajki z tysiąca i jednej nocy. Potem — zanurzyć się trzeba z głową w materiał i okazuje się, że materiał przystaje do pomysłu, uzupełnia go, uskrzydla. Jeżeli tak jest, wówczas możliwie najczęściej w ramach artystycznej konstrukcji trzeba

pozwolić mówić prawdzie. Wyjmuje ona z ust autora najlepsze pomysły”.

Zainteresowania Malewskiej obracają się w świecie historii. Pierwsze ocknięcie się, zbudzenie, powstało pod wpływem opowieści „O bohaterach i półbogach Greków i Rzymian”. Potem w szkole w stosach zeszytów ukrywała przyszła literatka zazdrośnie pisane gorączkowo dzieje Hannibala, Joanny d'Arc, dramat o rewolucji farnuskiej.

Obecnie pracuje Malewska nad XVI w. Wydobywa stamtąd znane literaturze sylwetki Zygmunta - Augusta i Barbary. Nowe odkrycia historyczne co do tej epoki, szczególnie co do postaci Barbary, wpłynęły na koncepcję „Zygmunta-Augusta”. Pomysł ten jest również echem sądów Norwida o niektórych stronach życia polskiego — Norwida, którego autorka uwielbia jako poetę i człowieka.

Możnaby powiedzieć, że Malewska nie pociąga współczesność. A może zbliża się do niej krokiem powolnym, nie mogąc oprzeć się dłuższym postojom przy niezmiernie drogich zjawiskach i postaciach przeszłości historycznej.

Anna Śmiałowska

bumami stole, w tem miejscu, gdzie teraz leży pierwszy dyplom obywatelstwa honorowego dla „brygadiera Piłsudskiego” przez miasto Nowy Sącz wydany, stał mikrofon.

Za wielkim stołem, zielonym murem stanęli najbliżsi Marszałka współpracownicy: podpułkownik Beck, płk. Maleszewski, płk. Wenda, oraz przedstawiciele Polskiego Radja.

Marszałek był w świetnym humorze, i żartując wesoło z córeczkami, opowiedział im bajkę, której dzięki mikrofonowi wysłuchali wszyscy, jak Polska długa i szeroka.

SŁUCHOWISKA POLSKIE ZA-GRANICĄ

Polskie Radjo wysłało do szeregu radjofonij zagranicznych niektóre słuchowiska polskie, specjalnie dla radja napisane, celem wystawienia ich przed mikrofonami tamtejszych rozgłośni. Do Anglii wysłano dwa słuchowiska, a mianowicie: Janiny Morawskiej — „Miasto Santa Cruz” oraz Meissnera — „Katastrofa G. 33” do Belgji — „Miasto Santa Cruz”, Szaniawskiego — „Zegarek”, „Katastrofa G 33”, S. Balickiego — „Wiosenny Wiatr” i Zofji Nałkowskiej „Noce Teresy”. Do Niemiec wysłano scenariusze słuchowisk: „Noce Teresy”, „Zegarek”, „Katastrofa G 33” oraz „Miasto Santa Cruz”. To ostatnie słuchowisko było już zrealizowane.

WAKACJE MŁODZIEŻY POD ZNAKIEM RADJA.

Radjo jest niewątpliwie wypróbowanym przyjaciелеm młodzieży, zarówno starszej, jak młodszej. Ież przeciw specjalnych audycji, poświęconych młodzieży, organizuje Polskie Radjo w ciągu jednego roku audycji bądź ściśle dydaktycznych, literackich, muzycznych (przypominamy tu m. in. w wysokim stopniu atrakcyjny międzynarodowy koncert z października ub. r. „Młodzież całego świata śpiewa”), bądź dyskusyjnych, że wymienimy, cieszą się wielkim powodzeniem, audycje, nadaną w b. r. p. t. „Młodzież mówi o sobie”, albo inną podobnego typu p. t. „Miejsce dla młodych”. Nie chodzi tu zresztą o szczegółową w tym względzie statystykę, ile o podkreślenie wymownego faktu, iż potrzeby intelektualne i duchowe młodzieży, jej zainteresowania, sięgające w najrozmaitsze dziedziny, są przedmiotem żywej i nieustannej troski Radja. Że młodzież ze swej strony wypełni docenia tak pożyteczną dla siebie działalność radjofonji, świadczą choćby owe setki listów, pełnych wdzięczności, jakie Polskie Radjo otrzymuje od młodzieży.

Okres wakacyj, okres wyjazdów na kolonie i letniska, nie powinien żadną miarą przyczynić się do rozluźnienia

WIADOMOSCI RADJOWE

PASJONUJĄCY KONKURS LETNI

Ale szczególną atrakcją dla wszystkich radjosłuchaczy, będących abonentami Polskiego Radja w miesiącach czerwcu, lipcu i sierpniu b. r. będzie wielki konkurs, który daje szanse wygrania jednej z tysięcy nader cennych nagród, ogólnej wartości 25.000 zł. Oto niektóre z nich: luksusowa limuzyna „Austin 1936”, dwutygodniowe pobyty w krajowych uzdrowiskach, wycieczki do ziemi świętej oraz do New Yorku, wycieczka samolotem, odbiorniki radjowe najlepszej marki, aparaty fotograficzne i wiele wiele innych. Warunki konkursu są następujące: Odgadnąć, którego dnia w okresie od 16 do 30 sierpnia b. r., oraz o której godzinie i minucie będzie nadana specjalna audycja propagandowa, jaką polskie radjo w godzinach popołudniowych transmituje z Wystawy Radjowej, urządzonej w Warszawie w ramach Wystawy Przemysłu Metalowego i Elektrotechnicznego.

Odpowiedzi należy nadsyłać do 31 sierpnia r. b. Warszawa, Mazowiecka 5.

Biorąc pod uwagę z jednej strony, minimalny wydatek na opłacenie abonamentu (zaledwie 10 groszy dzien-

nie!), z drugiej zaś strony szereg pierwszorzędných audycji najrozmaitszego typu, wreszcie mając możność zdobycia jednej z wyjątkowo pięknych nagród, niepodobna niepozostać w szeregach radjoabonentów Polskiego Radja w okresie wakacyjnym!

RADJO W MUZEUM BELWEDERSKIEM

Pałacik mieszkalny Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego został zamieniony na muzeum i otwarty dla zwiedzającej publiczności. Popod białymi kolumnami, przez znane tak dobrze, oszkłone wejście, dostajemy się do hallu belwederskiego pałacu. Naprzeciw wejścia zamarli w bezruchu na straży schodów, dwaj. zakuci w zbroje rycerze. Bielejące na prawo drzwi wiodą do amfilady sal, które w swoich ścianach gościły Marszałka.

Przez pierwszą poczekalnię wchodzimy do Sali Audencjonalnej. Stąd, jedyny raz w życiu, 11 listopada 1926 roku, przemawiał przez Radjo Marszałek.

Za wielkim stołem, na samym środku, stoi wysokie krzesło z poręczami, na którym On siedział, bawiąc się z córeczkami. Na zawalonym teraz al-

zadzierzgniętych z Radjem węzłów. Czyż zresztą można pozabawić się źródła niewyczerpanych rzetelnych atrakcyj, jakim jest radio. pozbawiać się przyjaciela, z którego kompetentnych rad i wskazówek korzystało się rok cały, z przyczyny ewentualnych wyjazdów letnich? Przecież radja słuchać możemy wszędzie, i w domu, i na powietrzu, na kolonjach i w obozie harcerskim.

CIĘKAWSZE AUDYCJE SEZONU LETNIEGO

Do słuchania zaś Polskiego Radja w miesiącach wakacyjnych zachęcamy tembardziej, ponieważ program letni przewiduje szereg bardzo ciekawych audycji. A więc z działu pogadanek podróżniczych, które cieszą się wśród młodzieży szczególnie powodzeniem, wymienić należy m. in. cykl p. t. „Nasza bandera na morzu”. Będą to reportaże z podróży polskich statków. Cykl ten niewątpliwie żywo zainteresuje młodzież, która z natury żadna jest wrażeń mocnych, przygód niecodziennych. Miłośnicy muzyki usłyszą m. in. kilka wspaniałych koncertów cymfonicznych i przedstawień operowych z Salzburga, ośrodka wiel-

kich niemieckich tradycji muzycznych. Koncertami temi dyryguje genialny dyrygent włoski Toscanini. Miłośników sportu oczekuje tego rodzaju ewenement, jak cykl transmisji z międzynarodowej Olimpiady w Berlinie która reprezentować będą wszystkie rodzaje sportu.

III WIELKI KONCERT RADJOWY z dziedzińca wawelskiego.

Dnia 24 lipca zakończy Polskie Radio swą niezwykłą imprezę, zorganizowaną na skalę światową: koncerty z dziedzińca wawelskiego. Trzy wielkie koncerty w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radja zwiększonej do potężnego zespołu 85 osób, pod batutą kap. dyr. Grzegorza Fitelberga poświęcone zostały całkowicie muzycznej twórczości polskiej. Trzeci koncert transmitowany w piątek o godz. 19.00 na wszystkie rozgłośnie polskie i wiele zagranicznych, nosi charakter również czysto polski.

Dzieła w koncercie tym wykonane nie tylko pochodzą z pod piór kompo-



zytorów polskich, lecz noszą również wybitnie polski charakter. W programie: „W Tatrach” — Żeleńskiego, „Zbójnicy” — Maklakiewicza, „Na hali” — poem. symf. — M. Rudnickiego, Mazur i „Tańce Góralskie” — Moniuszki, uwertura do opery „Marja” — Statkowskiego, „Żołnierze” — Kondrackiego, „Rapsodia Polska” — J. Fitelberga, scena z baletu „Pan Twardowski” — Różyckiego i wreszcie na zakończenie „Mazurek i Oberek” Sygietyńskiego.

Z T E A T R Ó W

„Lord i Hiszpanka” w teatrze Małym.

W sezonie letnim zgóry nastawiamy się na tak zwane „ogórki”. Sezon ogórkowy w teatrach przejawia się w tendencji od wystawiania sztuk lekkich, na których można się dużo śmiać, a nic nie trzeba myśleć. „Lord i Hiszpanka” jest właśnie jedną z takich sztuk, na których nie trzeba myśleć, ba, myślenie jest nawet surowo wzbronione, gdyż wtedy łatwo byłoby odkryć niewiarogodną poprostu głupotę sztuki. Bo coż się tam dzieje? Zwyczajna przegródka wakacyjna, jakich wiele, rozmaszana na 3 akty, ujęta w nieciekawą dIALOGI, a na dobitkę nieprawdziwą psychologicznie, oto co można powiedzieć o wieczorze, spędzonym w teatrze Małym.

Próby pogłębień psychologicznych, polegających na tem, że bubek, zakochany w rzekomej Hiszpance, zawraca z miejsca, dowiedziawszy się, że dama jego serca jest paryską „pouletką”, są rozbijające w swojej naiwności.

Ratuje sytuację pełna wdzięku gra Lubieńskiej, która jednak lepiej się prezentuje jako blondynka, niż jako brunetka, i gra Znicza, który z małej roli kelnera robił co mógł aby zmusić publiczność do śmiechu. Dekoracje przyjemne, reżyserja... owszem.

„Profesja pani Warren” w teatrze Malickiej.

Jest to jedna z tych sztuk wielkiego Shawa, w której autor miał jeszcze wiele młodzieńczego rozmachu i chęci naprawiania świata, a mniej mądrości sztuczności słów, ocierającej się co chwila o najbardziej fantastyczne paradoksy.

Nie znaczy to, żeby dialog sztuki w „Profesji pani Warren” nie był doskonałym dialogiem Shawa. Jest w nim tylko mniej kpiarstwa, a więcej rzetelnej zapalczywości, mniej filozofii, a więcej prawdy życiowej.

Nic to, że sprawa poruszona przez Shawa, sprawa moralności czy uczciwości postawiona wobec zagadnienia walki o byt jest już dziś nie nowa, a dawno i różnostronnie omawiana.

Problemy poruszone przez Shawa poruszają nas mocno, godzą bardzo trafnie nawet w naszą dzisiejszą rzeczywistość, a choć katonizm wizji nie jest zbyt przekonujący, gdyż wcale nie jesteśmy pewni, czy nie zechce ona dalej korzystać z majątku zebranego z prowadzenia domów publicznych, to jednak wychodzimy z teatru poruszeni. Sprawa nie jest przecież rozwiązana.

Teatr Malickiej wystawił sztukę za mało starannie. Dekoracje byłyby dobre, gdyby były dociągnięte, gra, poza Malicką, słaba, reżyserja — żadna.

„Nieprzyjaciółka” Antoine’a w teatrze Kameralnym.

Wbrew ogólnej opinii sztuka nie jest makabryczna. Cmentarność jest doskonale przykryta groteską. groteska panoszy się wszędzie, a przez to nic nie jest bolesne: ani nicość kobiety — dla kobiet, ani... głupota mężczyzny — dla mężczyzn.

Nieprawdą jest również, że sztuka jest antifeministyczna. Może to było intencją autora, ale, niestety, „nie wyszło”, a właściwie „wyszło” zupełnie przeciwnie i to dzięki głównej postaci kobiecej.

Nie można się przecież zgodzić na to, aby taka gęś miała być symbolem kobiecości, można natomiast, a właściwie trzeba się zgodzić na to, że dla takiej gęsi oszaleli i... umarli trzej mężczyźni, bądź co bądź coś warci.

Wniosek?

Teatr Kameralny wystawił sztukę z dużym poczuciem humoru, to znaczy tak, jak trzeba.

Artyści grali dobrze, dopingowani huraganami śmiechu publiczności. A najwięcej śmiały się... kobiety.

Na czele zespołu kroczył, jak zwykle, mistrz Adwentowicz i Grywińska. Na specjalne wyróżnienie zasługuje Domańska w roli nowoczesnej dziewczyny.

Zofja Miszewska

ZE SREBRNEGO EKРАНU

Ostatnie tygodnie przyniosły tylko jeden film, zasługujący na dłuższe omówienie; jest nim „Upiór na sprzedaż”, reż. René Clair'a. Nazwiska tego reżysera, który zdobył sobie taką popularność wśród inteligentnych miłośników kina, swymi niezapomnianymi filmami („Pod dachami Paryża”, „Miljon”, „Niech żyje wolność”), dawno już nie widzieliśmy na afiszach kinowych. To też, gdy się znów pojawiło, wielbiciele Clair'a tłumnie zjawili się w kinie, gdzie wprawdzie znaleźli Clair'a, ale... w masce: w masce — Aleksandra Kordy. „Upiór na sprzedaż” bowiem zawiera zaledwie znikomy procent „clairyzmu”, natomiast bardzo przypomina filmy reż. Kordy (twórca „Prywatnego życia Henryka VIII”), który tu występuje tylko jako kierownik artystyczny. Zjawisko takiego „zatracenia się” indywidualności reżysera pod wpływem kierownika artystycznego spotykamy, w ciągu ostatnich tygodni, już poraz drugi: film reż. Borzaga „Pokusza” ma wszelkie cechy „lubitschowskie”, chociaż Lubitsch występuje w nim tylko jako kierownik artystyczny, a nie — reżyser, o czym pisałam omawiając wspomniany film. W połączeniu R. Clair — A. Kordz dawałoby się że Clair zwycięży



Scena z filmu „Upiór na sprzedaż” w reżyserji René Clair'a

Może fakt, że stało się przeciwnie, należy przypisać terenowi pracy (londyńska wytwórnia) i tematowi odbiegającemu od dotychczasowych tematów Clair'a. Przeniósłszy się z „pod

dachów Paryża” do murów szkockiego zamku, dawny piewca romantycznych paryskich zaułków i paryskiego ludu, zmienił swój galijski „esprit” na angielski „humour”. Ten rodzaj humoru, może najlepiej określi polskie wyrażenie „z głupia frant”. poważne traktowanie najabsurdalniejszych sytuacji, dowcip mniej skomplikowany, łatwiejszy, wywołujący dziecięcą wesołość. „Upiór na sprzedaż” to satyra na amerykańskich dorobkiewiczów, którzy nie mając żadnych własnych tradycji, są niesłychanie wrażliwi na wszystko, co może wylegitymować się „dawnością”. Kupując stary szkocki zamek nie tylko nie boją się tego, że w nim podobno „straszy”, ale uważają, że zamek z „upiorami” właśnie należy do szyku. Nie mówiąc już o tym, że można to wyzyskać w celach reklamowych. Przeniesienie zamku z upiorem do Ameryki stwarza szereg niezmiernie oryginalnych i zabawnych sytuacji. Jest to doskonałe połączenie elementów realistycznych z fantastycznymi. Satyra z „czystym” głupstwem, co w sumie odpowiada świetnie formie sztuki kinowej, wyzwalającej się coraz bardziej z wpływów literatury i teatru.

Zato literaturę, choć przefiltrowaną przez kino, znajdujemy w kameralnym filmie p. t. „Adieu”. Mamy tu temat zawsze dla kobiet interesujący: miłość małżeńska, zagrożona przez skomplikowane warunki dzisiejszego życia (bezrobocie, oddalenie), miłość, której jednak nic nie zdoła zabić, je-



Margaret Sullavan w filmie „Adieu”

żeli istotnie istnieje. Pewne niedociągnięcia psychologiczne — a istotną treścią filmu są właśnie zmiany w psychice bohaterów — wypływają prawdopodobnie z niedoskonałości scenariusza, przerobionego z powieści, w której może nie istnieją. Mimo to, dobra gra — zwłaszcza Margaret Sullavan, jednej z sympatyczniejszych i zdolniejszych aktorek amerykańskich — oraz zajmująca akcja sprawiają, że film ten ogląda się z

uwagą i zainteresowaniem, z jakim czyta się porządnie napisaną powieść, choćby nie należała do literackich szczytów.

Kto lubi słynną parę tancerzy — Freda Astair i Ginger Rogers, będzie mógł podziwiać ich wspaniale wykonane i pomysłowe duety taneczne w filmie „Roberta”. Wolę go od innych filmów tej pary tancerzy, gdyż przynajmniej treść nie jest tak beznadziejnie szablonowa (choć nie twierdzę, że

jest oryginalna, a tembardziej — mądra) i nie ma w nim balastu rewji. Jest rewja ale... mody, a tę każda z pań chętnie obejrzy, choćby na ekranie, są wyżej wspomniane ewolucje taneczne wysokiej klasy i jest współudział inteligentnej i doskonałej aktorki, Ireny Dunn (znanej bohaterki „Bocznej ulicy”), co razem składa się na miłą i bezpretensjonalną całość.

es-ha

D Z I E Ń

Gdy ochrypła kukułka ściennego zegara zaskrzeczy sześć razy, a łóżko obok zaskrzypi, to znaczy, że mamusia wstaje. A kiedy zaszumi prymus i ze schodów szybko zbiegnie ktoś po bułki, można się już cieszyć świadomością, że zaczyna się nowy dzień.

Dzień zaś to dla Hindusi coś jak najcudniejsza książka z bajkami, której każda strona rozświeca się od uśmiechów, mętnieje w deszczu łez, ciepła jest od pieszczot i chmurna od samotnych rozmyślań. Małe nóżki z żalem wysuwają się z pod cieplej choć mocno już steranej kołdry, a piąstki energicznie przecierają oczy. W długiej sztywnej koszuli przebiega się boso do kąta pokoju, gdzie na krześle stoi miednica z zimną wodą. Robi się dużo hałasu, pryca się rozgłośnie, parę razy upuszcza mydło na podłogę, suchą szyjkę mocno i długo trze się ręcznikiem i przy wkładaniu majteczek, szukając dla każdego guzika odpowiedniej, zawsze gdzieś zgubionej dziurki, można radośnie myśleć, że nie każdy ma taką kochaną mamusię, co nie pilnuje przy myciu. A chcąc okazać wdzięczność, trzeba znaleźć chwilę stosowną by patrząc uparcie w dużą spoconą twarz powiedzieć prosząco:

— Mamusiu, pocałuj.

Cała Hindusia wędruje wtedy w górę i zamykają się wkoło niej ciepłe kochane ramiona. Jest błogo i pewnie jak chyba tylko we śnie. Za ten moment szczęścia odpłaca się jak najszybszym wypiciem dużej szklanki mleka i zuciem wielkiej kromy ciemnego chleba. Hindusia umiejętnie miesza w ustach suche chropawe bryłki ze śliną i łykając je z trudem, patrzy, jak tatunio prędko je śniadanie i ubiera się, bo kukułka już zaskrzeczała siedem razy, a do sklepu jest przecież bardzo daleko. Resztką chleba wypycha kieszonkę w sukienkę, a ostatnie czułe i tęskne spojrzenie pięści przytulnie rozścielone łóżko. Od progu biegnie pytanie:

— Ja już mogę iść, prawda mamu-

siu? Ja już zjadłam. Dzieci z pierwszego piętra czekają.

Napamięć się wie, że mamusia powie: i grzeczna bądź, i sukienki nie poplam, ale już wybiegłszy po kilku ciemnych i wilgotnych schodkach w górę, wszystkie siły zbierając otwiera się ciężką, wiśniową bramę i myśli ile jeszcze lat trzeba będzie pić rano mleko, by móc dosięgnąć mosiężnej, błyszczącej klamki. A potem Hindusia z uśmiechem mruży oczy w wiosennym słońcu i paznokciem stuka w okno sutereny pana Kolfasa który już siedzi w swym brudnym fartuchu na małym zydelku, mętnym spojrzeniem badając zelówkę jakiegoś buta. Kolfaska furczy sztywną z brudu spódnicą i zasłania sobą ten kąt izby gdzie czernieje blacha kuchenna. Teoś wstaje od stołu, grzbietem ręki obciera blade usta z kawy, długo manewruje przy zawiązywaniu fartucha, wreszcie siada do roboty przy oknie na drugim zydelku obok ojca.

Chuda dziewczyna w niebieskiej sukience już zobaczyła Hindusię przez szybę, trzasnęła drzwiami sutereny i pędzi na ulicę. Siadają obie na kamiennym progu bramy i Wikcia Kolfasówna aż tchu złapać nie może tak ważną rzecz ma do powiedzenia. Wczoraj wieczór mama wzięła na mieszkanie taką w kapeluszu z koszem z rzeczami, że to niby służby sobie szuka. Rano Wikcia się rozczyła, a tu niema ani lokatorki, ani koszyka. I dopiero Teoś na ucho siostrze opowiedział, że jeszcze przed dziesiątą wieczór, gdy ona, Wikcia, już spała, stójkowy zabrał służącą, która ukradła coś swym ostatnim państwu.

Na ostre wołanie Kolfaski Wikta podrywa się z proga i śmiga do sieni. Hindusia oplotła kolana rękami. Układa sobie, jak to ona z mamusią nigdy nie wezmą na stancję takiej z koszykiem; bez koszyka może wezmą, tylko niech nigdy stójkowy nie przychodzi do ich mieszkania.

Nagle dziecko coś sobie przypo-

mniało. Energicznie poczyną wspinać się po kamiennych, brudnawych schodach, czepiając się prętów barjery. Wszyscy tu w kamienicy znają tę drobną dziewczynkę w barchanowym kaftaniku, jej czarne lśniące włosy, ufne spojrzenie poważnych, ciemnych, dla gorętszego słońca stworzonych oczu i częsty, niepewny uśmiech, drżący na nieśmiałyłch wargach. Więc też teraz Hindusia pochłonięta trudem zdobywania schodów, ujrzawszy przed sobą błyszczące buciki panny Felci, pokojowej z pierwszego piętra, zadziera wysoko główkę i pogodnie się uśmiecha, ukazując rzadkie ząbki.

— Panno Feluniu, można już?

— Uhum. Tylko nie dzwoń; zapukaj.

Gdy się już jest na pierwszym piętrze, trzeba chwileczkę postać cichutko przed lśniącymi drzwiami, by zdziwić się nieobecnością znanych z apachów: kapusty, ziemniaków, skórszewca Kolfasa i kłębów pary z nad balji. Potem wolno zapukać zgiętym paluszkami tak wysoko, jak się tylko sięgnie i zamierzającym z radosnego łąku dyszkancikiem wyjaśnić:

— No, to nic, to tylko ja, Hindusia.

Nad białym fartuchem lśni czerwona, gruba, zawsze zła twarz kucharki Tereski. Ku tej twarzy biegną pierwsze przyjazne uśmiechy dziewczynki, których nie są w stanie zgasić wszystkie następne, głośno wypowiedane refleksje:

— Wytrzymaj dobrze nogi. Boże, jakże to dziecko ma brudną głowę. Zaczekaj tu w przedpokoju, a nie obdrap znowu ściany.

I dalej wszystko idzie już jak w bajce o tej Marysi, która się do zakłętą pałacą dostała, co to raz Wikcia w wolnej chwili opowiadała. Hindusia siedzi na miękkim krześku przy okrągłym stole, bawi się szachami z panią i paniczem, czasem przypadkiem mała ciemna rączka pogładzi szafirowy aksamit sukienki, a zachwycone spojrzenie pięści

misterną koronkę kołnierzyka. Nie śmiało wyszeptane słowa:

— Moja królewna, wywołują powszechną wesołość. Śmieją się tu zresztą często i serdecznie z tego, co robi Hindusia. Gdy czasem z powagą obgryza czarne brzozy swych pazurków, gdy na dłuższą chwilę zatopi obie rączki w gęste pasma włosów, lub gdy w głębokiej zadumie pograżona w nosie sobie dłubie, wtedy pani odwraca swą cudną bieluchną twarz z odrazą, dzieci krztuszą się życzliwym śmiechem, a pan mówi patrząc na Hindusię w zamyśleniu:

— Pozwól jej zostać, proszę cię. Przecież to jedyne jaśniejsze chwile w życiu tego biednego dziecka.

A biedne dziecko śmieje się razem z państwem by wiedzieli jak wielkie jest szczęście w przeświadczeniu, że się nikomu nie przeszkadza.

Dobrze jest, założywszy rączki w tyle, stać i patrzeć w zaczarowaną skrzynię, zawieszoną na ścianie, oczyma śledzić wędrówkę złotego, lśniącego krążka za szkłem i wsłuchiwać się w ciche, niezrozumiałe szepty zegarowe. Gdy łagodne, dalekie dziesięć uderzeń przenika do ucha, myśli się, że jednak własna kukułka jest ważniejsza i potykając się o miękki dywan, trzeba wdzięcznym, przymilnym uśmiechem pożegnać to miejsce zaczarowane. Jeszcze mijając kredens, patrzy z uwagą na kunsztowną piramidę pyzatyh jabłek i stwierdza z powagą:

— Hindusia lubi jabłuszka. Bardzo lubi.

A potem już z trzema jabłkami w kieszonce cup, cup, cup z radosnym niepokojem pędzić trzeba do sutereny.

Znajome odgłosy i ciepły zaduch pokoju wracają podnieconemu sercu spokój. Czas do obiadu przechodzi na wycinaniu lalek z papieru, czasem na komponowaniu tragicznych sytuacji, jakie między niemi powstać mogą i na opowiadaniu mamusi, która gotuje obiad, jak tam wygląda na pierwszym piętrze u pana „zinziniera”. W czasie obiadu z rozczeniem patrzy się w przesłanianą oparami zupy zmęczoną i smutną twarz taty i myśli się z żalem, że za chwilę znów będzie musiał odejść. Zawsze najmilsze z całego obiadu są ziemniaki: jeść je można długo, bez wysiłku i obawy, że ich zabraknie.

W niepokojącej, poobiedniej ciszy, która zalega całą kamienicę, rozgłosnie tyka zegar i brzęczą w szafliku talerze. Ociekające wodą, buchające parą odbiera się je ostrożnie z rąk mamusi i obciera w wielką szarawą szmatę. A z wykukaniem godziny trzeciej wiadomo, że wolno już pójść do swojej kochanej pani, która ma

osobny pokój i pewnie już wróciła z biura

Znajomość z kochaną panią jest świeżej daty. Gdy Hindusia w jakies deszczowe popołudnie, siedząc na parapiecie okna klatki schodowej, z rozplaszczonym na szybie noskiem i w podkówkę złożonymi usteczkami poznawała jad smutku wraz ze strugami deszczu do serca ludzkiego się wsączający, z głębokiego zamyślenia obudziło ją dotknięcie czyjejś ręki i kuszące słowa:

— Hm, cóż filozofko? Może wejdiesz na chwilę do mnie?

Hindusia, dziękując uśmiechem, mocno uczepiła się ręki w jedwabnej rękawiczce i — żeby już nie ciążyły między niemi żadne tajemnice — oświadczyła:

— Ja jestem Hindusia ze suterny.

Obcość pokoju odbierała dziecku swobodę ruchów. Ciemne spojrzenie śledziło ruchy pani, która przygrzewając sobie na maszynie obiad, Hindusi też nalala na talerzyk trochę zupy.

— No, chodź, mała. Najpierw coś zjemy

Naiwne zdziwienie dziewczynki ustąpiło miejsca wesołej kaskadzie śmiechu na widok pani, wykonującej jakieś dziwne ruchy na czole i ustach.

— Nie śmieję się Hindusiu. Ja się żegnam, tak jak uczy moja religja. Twoja mamusia modli się inaczej. A ja tak.

I od tej pory dziecko, przecze-

kawszy zawsze znak krzyża przed jedzeniem, nie omieszkowało zaznaczyć:

— Proszę pani, ja się już nie śmiałam.

I dzisiaj wszystko, począwszy od wesołego bombardowania obydwoma piąstkami drzwi i udzielenia chichotem przerywanej informacji:

— To ja, ja, Hindusia,

a skończywszy na oglądaniu albumów z fotografiami, powtarza się z najścisłszą dokładnością. Na pożegnanie pani bierze dziewczynkę na rękę i pozwala by lepkie paluszki zachwycały się gładkością jej różowych policzków, a drobne usta wcisnęły mocnym pocałunkiem w szyję.

Idąc po schodach czuje Hindusia, jak mocno bije oszołomione serce, a z poza jakiejś gęstej mgły docierają do świadomości wrzaski zacieklej kłótni między elegancką panną Felcią z ganku pierwszego piętra, a grubą i brudną stróżką z podwórza, wymyślają od flonder i lafirynd.

Wieczór wypełnia jeszcze senne rozwlekane po pokoju różnych papierków, szmatek i sznurków, a gdy oczy bardzo się już robią malutkie, najlepsze i najmilsze ręce rozbiegają Hindusię i układają w łóżku. Wraz z bliskim, gorącym oddechem mamusi spływa błogi sen. Najpierw poszczególnie sprzęty, a potem sufit i pochylona twarz nikną w mlecznej, strzępiastej chmurze.

Romana Buzkówna

„PRASA LEŚNA”

Sp. z ogr. odp.

poleca wydawnictwa

„LAS POLSKI”

MIESIĘCZNIK NAUKOWY

pod redakcją insp. J. Rosłńskiego
Wychodzi 15 każdego miesiąca

Prenumerata kwartalnie zł. 4.—
dla leśników zł. 3.—

„ECHA LEŚNE”

TYGODNIK ILUSTROWANY

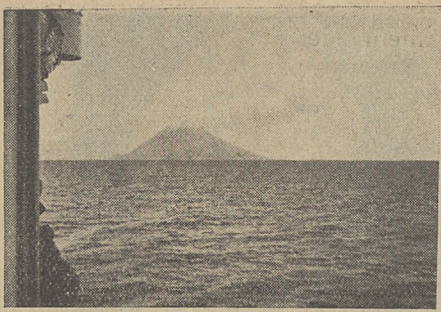
pod redakcją inż. J. Kostyrki

Wychodzi w każdą niedzielę

Prenumerata zwykła dla członków organizacji
rocznie zł. 36.— zł. 24.—
półrocznie zł. 18.— zł. 12.—
kwartalnie zł. 9.— zł. 6.—
miesięcznie zł. 3.— zł. 2.—

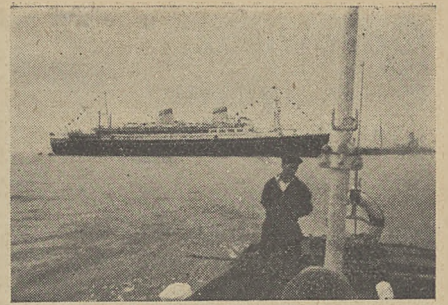
oraz pocztówki ilustrujące piękno
naszych lasów w cenie 10 gr. za sztukę

A D R E S: Warszawa, Żórawia 13, telefon 9-44-41,
konto czekowe P. K. O. 5755.



SZLAKIEM POŁUDNIA

2.



Raguzę znałam. Przed dwoma laty mieszkaliśmy przeszło cztery tygodnie w jednym z tych domków osłepiająco białych w słońcu, — Wchodziło się do niego mozolnie i długo schodami wykutymi w kamieniu. Rano, gdy otwierałam oczy — łóżka nasze stały tuż pod oknami — pierwsza witała mnie gałąź kwitnącej mimozy, wspinałomyślnie przechylając się przez to otwarte okno, jakby razem ze mną piła kawę i razem ze mną przyglądała się codziennemu rytuałowi golenia się mego męża.

Witałam więc Raguzę jak dawną znajomą!

— To ja tylko wiem, pod którym łukiem bramy znajduje się niepozorny sklep gdzie dostać można za grosze, najświeższe i najlepsze ostrzygi; to ja zaprowadzić mogę do miejsca skąd widać jak na dłoni port Gravożę, najpiękniejszy pejzaż z morzem i cyprysami na pierwszym planie, statki, holowniki i barki. A tam, wdole obok hotelu Excelsior, leżałam codziennie na plaży z drobnutkich kamieni, bo tam niema piasku, słuchając wynurzeń piegowatego, grubego konsula włoskiego i patrząc spod przymkniętych powiek na signora Francescę, właściciela willi z Glicyniami. Signor Francesco był długi brązowy i miał zupełnie zielone oczy. Do niego to wtedy, przed dwoma laty, płynąc już do Wenecji na statku Jugosłowiańskim „Caragiorgę”, pisałem sonety:

*„Piękny jak koń arabski i jak trzcina
[gibki.
Brązowe smukłe nogi, pierś słonecz-
[no-złota
Białe mewy nad głową, u stóp srebrne
[rybki —
Dla mnie imię Francesco oznacza
[tęsknotę...*

I teraz, wędrując po tych znajomych

miejscach, bawiłam się „przesypywaniem piasku wspomnień”.

O godzinie piątej ryknęła syrena Batorego. Wkrótce tracimy z oczu białą Raguzę płyniemy w stronę Hiszpanji.

Na „Batorym” jest bardzo piękny kącik zwany „Ogrodem Zimowym”. Stoją tam najwygodniejsze fotele, a brak jednej ściany sprawia przedłużenie pokładu. W kącie tym najprzyjemniej jest gawędzić. Pamiętam jedną rozmowę z Andrzejem Strugiem. Bardzo pięknie wyglądał na tle ceglatego odbicia ściany z białą czupryną i opaloną twarzą. Opowiadałam mu jakąś zawiłą historję poto tylko by patrzeć, jak słucha i czułam wtedy radość świetnej harmonji, jaką dają piękno morza, piękno nieba i piękno człowieka, który zachował wieczną młodość, mając jako jedyny eliksir gorące i wiecznie wrażliwe ludzkie serce.

Z Andrzejem Strugiem wymienialiśmy też wiadomości o bliźnich naszych i niektóre były wręcz rewelacyjne. Okazuje się, że na statku przebywa jeden pan, który 52 lata pracował w banku, jako czuwający nad sa-kiem. Po pięćdziesięciu dwóch latach pilnego czuwania w podziemiach świetnej tezy instytucji, pan ten wybrał się „Batorym” na przejażdżkę, aby odetchnąć świeżym, morskim powietrzem, zbliżyć się do oceanu i egzotycznych zamorskich dziwów.—I cóż? — okazało się, że zapóźno.

Pan od safu mimo usilnych namów ze strony towarzyszy podróży nie chciał wyjść na pokład; nic a nic nie obchodziły go dalekie porty i kraje— pod pokładem w labiryncie korytarzy, pan ów przechadza się niepewnym krokiem i śledzi podejrzliwie każdego pasażera. Ilekroć razy wchodziłam do toalety „for ladies” staruszek ten nagle jakby wyrastał spod ziemi, stawał przedemną wyjmując zegarek, patrzył na wskazówki... Po mojem wyj-

ściu, zupełnie nieoczekiwanie szedł mi naprzeciw, a w oczach jego był złośliwy tryumf; od niechcenia znowu wyciągał zegarek, dając mi jakby do zrozumienia, że byłam „tam” przeszło minut sześć!

Przyznaję, że spoczątku przerażała mnie ta najmniej spodziewana kontrola, ale później dowiedziałam się, że miejsce to jest zidentyfikowane z sa-fem w wyobraźni przemilego pana...

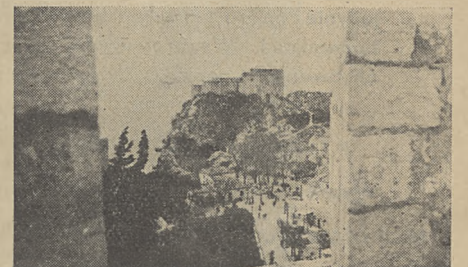
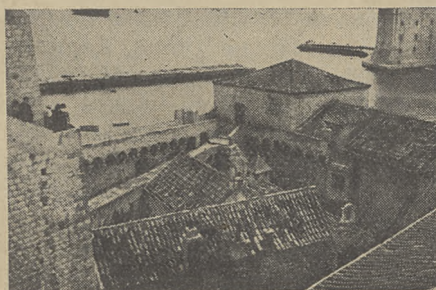
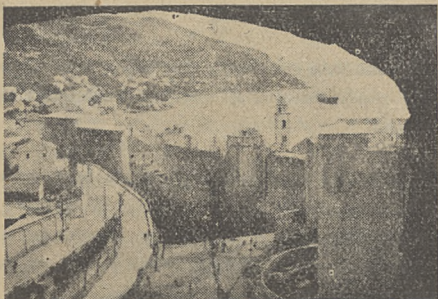
A teraz płyniemy dziesięć węzłów na godzinę. Wiatry morskie nam sprzyjają i oto dnia dwudziestego trzeciego kwietnia o godz. 6-ej rano zarysowuje się na horyzoncie ląd...

Nigdy już potem i pewno nigdy już w życiu nie poczuję dreszczu tak wielkiego objawienia, jak wtedy, kiedy z gołymi plecami, mokrą twarzą i ręcznikiem na głowie stałam na drabince w kajucie i szeroko otwartymi oczyma wchłaniałam urwiste, czarne brzegi Hiszpanji. Niech będzie pozdrowiona każda pierwsza chwila zetknięcia się z nieznanem, pierwsze spojrzenie na nowy ląd, pierwsze dotknięcie stopą obcej ziemi. Jest jakiś uroczysty, od skurczów w gardle aż dławiący zachwyty w spełnieniu aktu poznania.

Hiszpanja była dla mnie zawsze krajem najgorętszych marzeń, ziemią największego bohatera, Don Kichota, najlegendarniejszego kochanka Don Juana i najwspanialszego malarza El-Greco. Widziałam ją w snach czarną, spieczoną od słońca. żółtą kolorytem Ribeiry. Znałam te gościńce z wędrowek błędnego rycerza, wiatraki i stada baranów, które przeszły w symbol, strzeliste i mroczne kościoły pełne podziemi tajemniczych z czasów inkwizycji. Schodząc po trapie cicho powtarzałam:

*„Z którego dziejów czytać się uczy-
[łem.
Rycerzu — piosnkę zaśpiewam
[i tobie.”*

Iza-Bell



Odpowiedzi kosmetyczne „Madeleine'y”

P. Jadwidze Rz. Do pielęgnowania rzęs i brwi proszę używać albo specjalnego preparatu, który przesłać mogę po otrzymaniu bliższego adresu, lub czystego oleju rycynowego. Miękką małą szczoteczkę zwilżyć należy olejem i codziennie wieczorem szczotkować brwi wzdłuż, biorąc kierunek od nosa ku schroniom. Każdą brew szczotkować po minucie. Tą samą szczoteczką proszę lekko szczotkować rzęsy, podwijając je ku górze, czas trwania zabiegu również minuta na każdą rzęsę. Szczoteczka winna być codziennie myta w gorącej wodzie z mydłem, wysuszona i trzymana w zamknięciu, aby brud i kurz na niej nie osiadał. Szczotkować brwi i rzęsy należy po wieczornym umyciu twarzy, aby nie wcierać brudu, który przez dzień cały zbiera się na włoskach i skórze. Na noc pozostawić olejek na brwiach i rzęsach. Czynność tę należy powtarzać codziennie przez szereg miesięcy, po kilku tygodniach zazwyczaj rezultat bywa już widoczny. Co do włosów prosiłabym o bliższe dane: czy włosy są suche czy tłuste? Czy jest łupież? Jak często i czym je Pani myje, poczem dopiero będę mogła udzielić porady.

Pani Wandzie R., Lublin. Dla rozwinięcia i pojedrnienia biustu, proszę stosować codziennie rano i wieczorem przez 6—8 do 10 minut gimnastykę, wykonywując ruchy, jakie robimy przy pływaniu. Pozatem po skończo-

KREM „AMIE” - w domu
KREM „PLEIN-AIR” - na powietrzu
poleca:

INSTYTUT i LAB. KOSMETYCZNE

Madeleine

D-rowej Magdaleny Poznańskiej.

Wszelkie zabiegi kosmetyczne na wysokim, współczesnym poziomie. Precyzyjne barwienie włosów i brwi jedynie najlepszymi nieszkodliwymi barwnikami. Wyborowe, indywidualizowane specyfiki kosmetyczne „Madelaine”.

PORADY BEZPŁATNIE

Wysyłka za zaliczeniem pocztowym.

Mokotowska 52 - I p. Tel. 808-37.

Wymikiem 130 letniego
udoskonalania są:

JODA KOLONSKA
Jean-Marie Farina

WODY KWIATOWE
Vera-Violetta
Parots d'Argent
Feu-Follet
Fougere

PUDER *Vera-Violetta*
RÓŻ / *Sards Domino* /
POMADKI DO UST
MYDŁO KWIATOWE



ROGER & GALLET
PARFUMEURS PARIS

nej gimnastyce obmyć piersi możliwie zimną wodą, do której na litr dodać jedną łyżkę stołową soli i szkanke spirylusu. Wycierać do sucha. W obecnej porze, to znaczy latem i jesienią, używać dużo wiosłowania i pływania. Oba te sporty doskonale rozwijają klatkę piersiową i biust.

P. Bronisławie R. Radykalnego środka na pozbycie się piegów niema, jest to bowiem zbytnia, a przyrodzona obfitość ciałek barwikowych, t. zw. pigmentu, znajdujących się w głębszej warstwie skóry i pod wpływem słońca, wydobywających się na jej powierzchnię. W kosmetyce używamy środków lekko stłuszczających naskórek, uważać tylko należy, aby środki te nie zawierały zbyt trujących składników i nie drażniły zbyt skóry. Zaczynać należy leczenie od środków łagodniejszych, stopniowo przechodząc do silniej działających. Najczęściej używamy odpowiednich kremów, po otrzymaniu pomyślnego efektu, należy przerwać stosowanie kremu, i zacząć go używać z powrotem dopiero wtedy, kiedy piegi znów się ukażą. Należy też bardzo chronić twarz i ramiona przed słońcem, dlatego radzę Pani w lecie i na wiosnę nosić duże kapelusze w kolorze żółtym, czerwonym lub jasnobronzowym, albo parasolkę w tych samych barwach. Twarz proszę rano i wieczorem myć ciepłą przegotowaną wodą z boraksem (dwie łyżeczki na litr wody), opłókiwać zimną. Zamiast mydła radzę używać „crème janne” do mycia twarzy, który bardzo wybiela. Przy plażowaniu należy skórę twarzy pokryć kremem światłochronnym i przypudrować takimż pudrem. Niezależnie od tego duży plażowy kapelusz w jednej z podanych wyżej barw.

Magdalena Poznańska

Specjalny śpiewaczy numer „Polacy Zagranicą”

Ukazał się w druku powiększony czerwcowy numer miesięcznika „Polacy Zagranicą”.

W numerze tym na specjalną uwagę czytelniczek „Tygodnika Kobiety” zasługują artykuły, dotyczące sławnych śpiewaczek polskich. Znajdujemy w nich omówienie działalności artystycznej kilkunastu naszych współczesnych śpiewaczek i wywiady z nimi.

Numer, poświęcony całkowicie pieśni i śpiewactwu polskiemu, wiąże się ściśle z Pierwszym Złotem Śpiewaków Polskich, jaki się odbył w dniach 27—29 czerwca b. r. w Warszawie.

Szczególny nacisk położyła redakcja na uwypuklenie tych wszystkich momentów uczuciowych i narodowo-wychowawczych, jakie stwarza pieśń polska wśród szeroko po świecie rozrzuconych rzesz naszych rodaków.

Obok artykułów informacyjnych, instrukcyjnych i rodzajowych, wywiadów z artystami i t. p., w miesięczniku zabrali głos tego rodzaju znawcy i teoretycy w dziedzinie pieśni polskiej, jak prof. dr. Adolf Chybiński, prof. Feliks Nowowiejski, prof. Wacław Lachman, Tadeusz Mayzner, sekretarz generalny Zjednoczenia Polskich Związków Śpiewaczy i Muzycznych w Warszawie — mjr. dr. Jan Niezgoda i inni.

W numerze znalazła szerokie omówienie polska pieśń religijna, bojowa, ludowa i artystyczna.

Fachowo opracowany i zilustrowany bogato numer śpiewaczy, organ Światowego Związku Polaków z Zagranicy, przyczyni się niewątpliwie do dalszego rozwoju i propagandy pieśni polskiej w świecie.

PODWIECZOREK

W sezonie letnim jednym z najmiłszych posiłków jest podwieczorek.

Podwieczorek codzienny zarówno, jak podwieczorek „proszony” mają w długim, ruchliwym dniu letnim specjalny urok, cieszą się względami zarówno dorosłych, jak i młodzieży.

Typ przyjęć podwieczorkowych to typ wyróżniany przez zagranicę, która tworzy modę we wszystkich dziedzinach życiowych.

Skąd ta moda?

Złożyły się na nią dwa podstawowe czynniki: konieczność obchodzenia się bez licznej, wykwalifikowanej (a zatem kosztownej) służby i ograniczenia budżetowe.

Podwieczorek to coś w rodzaju popołudniowego „zimnego bufetu”. Odmienny typ dań, odmienny typ nakrycia, ale ta sama swoboda, ta sama możliwość przygotowania wszystkiego z góry, obejścia się bez dodatkowej usługi.



tego czy podajemy go w pokoju, czy na otwartym powietrzu, stół zastawiony daniami powinien mieć wszechstronny dostęp. Nie zasiadamy przy nim, traktujemy go jako róg obfitości, z którego każdy czerpie swobodnie napoje i przysmaki, szukając wygodnego miejsca do ich spożycia.

Tworzą się grupy, które kojarzy sympatja, zasiadają jak mogą — w ogrodzie na trawniku, na ławkach, na balustradach werand i tarasów; w mieszkaniu przy małych, rozstawionych wygodnie stolikach, na poduszkach rzuconych na dywany, na tapczanach. Swoboda, wesoła, beztrudna swoboda to największy urok takiego bezpretensjonalnego przyjęcia.

Typowe dania podwieczorkowe to dania zimne i zimne napoje. Tartinki, toasty, grzanki, czestery. Zawsze mile widziana herbata, kieliszek Vermouthu, w dni upalne zimna limonjada owocowa. Torty owocowe, drobne ciasteczka, lody, owoce sezonowe ułożone na tle liści winogronowych.

Dobór i jakość dań zastosowana ściśle do skali budżetu, tylko estetyka, staranność podania, indywidualność pomysłów, zawsze podciągnięte do najwyższego poziomu.

Melba

Zestawienia dań podwieczorkowych, zarówno jak i nakrycie dają duże pole do wykazania indywidualności. Skreśliliśmy przede wszystkim z listy szablon, sięgniemy do skrytek wyobraźni, do wzorów obcych, które nasuwają nieraz takie ciekawe i nowe pomysły.

Podwieczorek podany na werandzie, albo w cieniu drzew, na świeżym powietrzu będzie miał urok swoisty, nacechowany specjalną swobodą, niezależnie od



DANIA PODWIECZORKOWE

Grzanecki z kruchych rogalików. Rogaliki o typie tak zwanym „kruchym”, które można dostać w każdej piekarni, kupić w przeddzień, aby lekko szczerstwiały. Doskonale wyostrzonym nożem pokrajać je na cienkie, jak bibułka plasterki, rozsypać jedną warstwą na blasze od pieczenia ciastek, wsunąć do niezbyt gorącego pieca, aby przeschnęły, zrumieniły się na złoty kolor i nabrały chrupkości. Po ususzeniu, wybrać delikatnie na ozdobny koszyczek wysłany haftowaną serwetką, odrzucając grzanecki pokruszone. Podawać zupełnie świeże do nich masło, albo dżem.

Toasty domowe. Typowe toasty, takie jak podają w pierwszorzędnym salonach herbacianych i wszystkich niemal domach prywatnych zagranicą, są u nas nieznane i niedostępne z powodu braku odpowiednich urządzeń (maszynki elektryczne do toastów). Można jednak zastąpić je toastami przyrządzonymi po gospodarsku.

Długą bułeczkę z formy obetrzeć z wierzchniej zrumienionej skórki, pokrajać na plasterki grubości małego palca. Ułożyć grzanecki na grubej żelaznej patelni, nieużywanej do smażenia na tłuszczu, albo doskonale wyszorowanej. Przypiekać z obydwóch stron na złoty kolor, normując ogień tak, aby się grzanki nie przypaliły, a tylko wyraźnie zrumieniły. Najlepiej przypiekają się na płomieniu gazowym, który łatwo daje się regulować. Podawać wprost z patelni, są dobre tylko, dopóki nie wystygną. Do toastów podaje się wyborowe masło deserowe, albo dżemy owocowe.

Skony. Proporcja: 2 i 1/2 filiżanki mąki pszennej, 2 łyżeczki od herbaty cukru mialkiego, soli, 4 łyżeczki strychowane proszku do pieczenia, czubatą łyżkę stołową świeżego masła, 2 jajka, 1/2 filiżanki młodej, wyborowej, kwaśnej śmietany, jajko do posmarowania, gruba sól i kminek do posypania. Masło do wysmarowania blachy.

Wymieszać: mąkę, sól, cukier i proszek do pieczenia, osiać przez gęste sito trzykrotnie. Przetrzeć mąkę z masłem, wgnieść dwa rozbite jaja i śmietaną. Wyrobić szybko na gładkie ciasto. Rozwałkować cienko na stolnicy posypanej mąką, wycinać spodkiem od filiżanki, albo dużym krążkiem blaszanym kręgi z ciasta. Każdy krążek przeciąć na cztery trójkąty, układać je na blasze, posmarowanej masłem. Pociągnąć powierzchniu rozbitym jajkiem, posypać solą wymieszaną z kminkiem. Upiec w gorącym piecu na rumiano, podawać do herbaty wprost z pieca, oddzielnie

masło deserowe formowane w kuleczki albo krążki.

Ciastka kruche z agrestem.

Zagnieść ciasto kruche podług proporcji: 25 dk. mąki pszennej, 15 dk. masła, 6 dk. cukru pudru, szczypta soli. Rozwałkować dosyć cienko, wykrawać krążki, wielkości dużej szklanki. Część ciasta pozostawić na ranciki. Z pozostałego ciasta tulać wałeczki, smarować każde ciastko jajkiem i otoczyć wałeczkiem. Ułożyć na blasze tak, aby między jednym, a drugim pozostała wolna przestrzeń, bo rosną, a zlepiając się, tracą kształt zaokrąglony i kruszą się przy rozdzielaniu.

Wsunąć ciasto do dobrze gorącego pieca, gdy się doskonale rozgrzeją, wyjąć na chwilę i prędko posmarować ranciki rozbitym jajkiem. Wsunąć ponownie do pieca. Upiec na złoty kolor.

Usmażyć z awczasu agrest w krótkim, dobrze słodkim syropie w ten sposób, aby się syrop zgalaretował. Wystudzić agrest. Na chwilę przed podaniem wypełnić ciasta zgalaretowanym agrestem.

Ciastka angielskie z jabłkami, albo rabarbarum. Proporcja: 30 dk. mąki pszennej, 25 dk. masła, 1/8 kg. cukru pudru, 1 jajko, 1 żółtko. Jabłka albo rabarbar, cukier puder z wanilią do posypania.

Zagnieść ciasto podług powyższej proporcji, wychłodzić, żeby stężało. Rozwałkować, wyciąć spore krążki, pozaginać brzegi, karbując równocześnie palcami w formie rancika. Ułożyć ciastka na blasze, napełnić drobno krajaniem łydżkami rabarbaru, albo szatkowanymi jabłkami winkowatymi, posypać owoce cukrem, piec w średnim piecu. Wydawać wprost z pieca osypując obficie cukrem pudrem z wanilią.

Placek drożdżowy z polewą migdałową. Proporcja: 25 dkg. mąki pszen-

nej, 8 dkg. masła, 5 dkg. cukru, 2 dkg. migdałów słodkich, 2 i 1/2 dkg. drożdży, 3 żółtka, 3/4 szklanki słodkiej śmietanki, albo tłustego mleka, szczypta soli. Masło do blachy.

Proporcja na polewę: 7 dkg. masła sklarowanego, 5 dkg. zmielonych migdałów, 4 dkg. mąki pszennej, 5 dkg. cukru pudru.

Podzielić drożdże na dwie równe części; jedną połowę rozprosząć mlekiem, albo śmietanką i przygotować na nich rozczyń, biorąc tylko trochę mąki. Postawić rozczyń w ciepłe, a przez czas, kiedy podrosta, utrząć masło z żółtkami na śmietankę; dodać resztę śmietanki, mąkę, cukier, migdały, wymieszać to z rozczyń, doskonale wyrobić, dodać resztę drożdży i jeszcze wyrabiać 15 minut. Postawić ciasto w ciepłe, aby wyrosło, a przez ten czas przygotować masę w sposób podany poniżej: Ucierać na masę migdały, obrane ze skórek i zmielone na młynku, dodając cukier i lejąc potrochu masło sklarowane, gdy masa zrobi się pulchna, wymieszać ją z mąką. Wyrośnięte ciasto rozwałkować na palec grubo, wyłożyć niem blachę, suto masłem posmarować. Ciasto ułożyć tak, aby i brzegi blachy były wylepione na 2 cm. wysoko. Rozpostrzeć na cieście masę, dając ją równą warstwą, skropić powierzchnię obficie masłem sklarowanym. Piec w średnim piecu na złoty kolor. Po wyjęciu z pieca posypać obficie cukrem pudrem z wanilią.

Chłodnik z bananów.

Obrać ze skórki banany, pokrajać w plasterki, rzucić na lekki syrop zaciśnięty sokiem cytrynowym, gotować na wolnym ogniu 10 minut. Odstawić. Po upływie kilku godzin prześfusować przez czyściutkie sitko. Na każde dwie szklanki soku bananowego dodać szklankę Vermuth'u włoskiego. Wymieszać. W wysokie kieliszki kłaść drobno tłuczony lód sztuczny, nalewać na niego chłodnik bananowy i podawać natychmiast. *Melba*

W sprawie służby domowej

Wydział Pracownic Domowych Związku Pań Domu zorganizował w czerwcu konferencję prasową informacyjno-dyskusyjną w sprawie pracownic domowych.

Ten temat zawsze jednakowo aktualny, ze względów społecznych, zgromadził przedstawicielki władz z odpowiednich resortów i reprezentantki prasy.

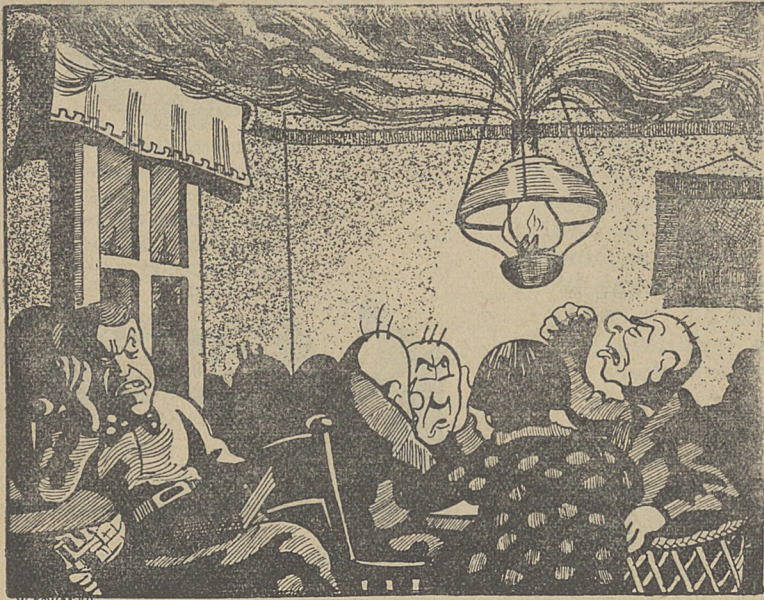
Zebrańnię zagała pani Lutostańska, podkreślając znaczenie prac podjętych przez Związek Pań Domu w tej sprawie ważnej dla każdej rodziny. I to nie tylko ze względów społecz-

nych ale wprost i ze względów na bezpieczeństwo rodziny. Zaznaczyła, że kwestja stałych legitymacji nie przestaje być tematem nieustannych zabiegów Wydziału.

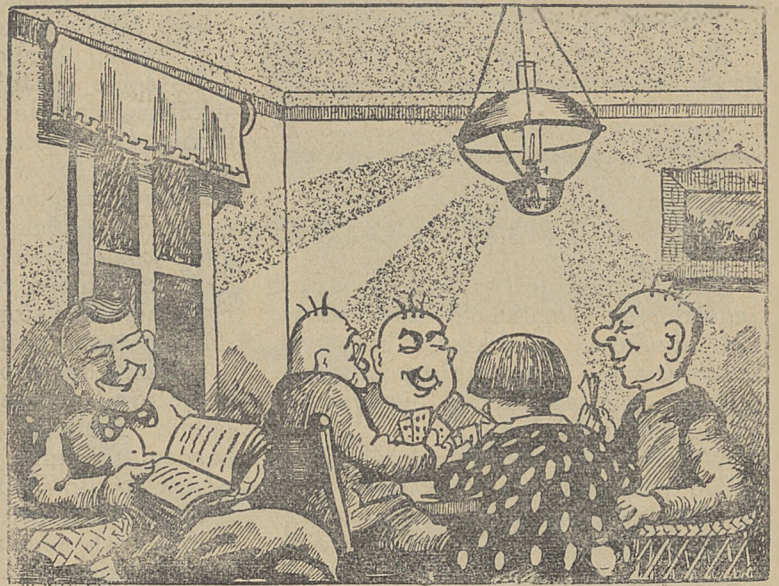
Następnie pani Marja Ankiewiczowa, przewodnicząca Wydziału, zapoznała słuchaczy z całokształtem prac dokonanych. W referacie swym, wypowiedzianym jasno, przejrzyście i z doskonałą znajomością sprawy zaznaczyła, że wydział powstał samoistnie. Zdecydowało o tem życie.

Tyle i tak ciągle mówiły o służbie panie domu, tak ciągle wracano na

Bridge na letnisku



dawniej..



dziś - przy lampie z palnikiem spirytusowym Rusticus

zebraniach do tych spraw, że w 1928 roku utworzono sekcję służby domowej koła studjów gospodarstwa domowego. Ułożono ankietę i kwestionariusz w których i panie i służące udzielały odpowiedzi o warunkach pracy, środowisku i wzajemnem ustosunkowaniu.

Dalszą pracę podzielono na dwie części. Na fachowe szkolenie służby, ażeby i tę pracę podnieść do godności zawodu. I na ujednostajnienie ze strony pań domu warunków pracy i płacy.

Następnie Wydział zorganizował szereg odczytów. Omawiano kwestję służby na miesięcznych zebraniach. Podjęto prace publicystyczne, opracowano szereg artykułów i broszur. Między innymi wyszła „Służba domowa” p. M. Ankiewiczowej.

Powoli uzgodniono wzory umów i świadectw. Wreszcie zorganizowano fachowe szkolenie służby. Obecnie prowadzone są 2—3 kursy roczne i założona została 1-sza Miejska Szkoła Doksztalająca. Odbывают się tam kursa popołudniowe dla dziewcząt, zatrudnionych praktycznie. Daje to możność paniom, rozumiejącym znaczenie i wartość uświadomionej i dobrze wyszkolonej służby, do posyłania jej w godzinach wieczornych na naukę.

W 1932 r. Wydział zorganizował Biuro Pośrednictwa Pracy, które po dokonaniu około 1000 transakcyj musiano zlikwidować z braku odpowiedniego materiału, za który biuro mogłoby całkowicie odpowiadać.

Wreszcie uchwalono wprowadzić

odznaki za służbę: medale miedziane, srebrne i złote.

Wiele dezyderatów opracowanych i wysuniętych przez Wydział uwzględniło Ministerstwo Opieki Społecznej.

Całe wysiłki Wydziału skierowane są nadal do wyrobienia stałych legitymacyj służbowych, które byłyby gwarancją wartości i jakości służby. Wiadomo bowiem, że jest to element bez zawodowego cenzusu. Stąd powstaje taka różnorodna skala wynagrodzenia. Stąd brak odpowiedzialności za podjęte zobowiązania. Stąd płynie zupełna niemożność osiągnięcia bezpieczeństwa w domu, bo nigdy się naprawdę nie wie, kogo się do życia rodzinnego wprowadza. Niema nietylko żadnej gwarancji, co do wartości moralnej jednostki, ale często nieświadomie wpuszcza się do domu osoby chore.

Dlatego tak ważne jest wprowadzenie legitymacyj służbowych, kontrola i rejestracja, a także biura pośrednictwa pracy dla służby stałej i przychodzącej. Wreszcie przymusowe wyszkolenie i zabezpieczenie starości.

Nad każdą z tych prac Wydział pracuje usilnie. W trosce o zdrowie służby założono w Warszawie świetlicę na zimę i zawiązano kontakt z Tow. Krzewienia Kultury Fizycznej wśród kobiet. Dało to możność założenia obozów wypoczynkowych dla służby z turnusami tygodniowymi.

Bardzo rzeczowe i głęboko społeczne podejście do tematu p. Ankiewiczowej wywołało ożywioną dyskusję. Pani woj. Manteuflowa zaznaczyła, że bardzo to ciekawe, że sprawa tak

ważna ze względów społecznych jest ciągle jeszcze nieuregulowana. W samej Warszawie jest około 60 tys. służby domowej. Rekrutują się przeważnie ze sfer najuboższych, o bardzo smutnym dzieciństwie. Stąd tyle matek nieślubnych i 40% chorych wenerycznie.

A dziś w domach, gdzie oboje małżonkowie pracują, na służącą spadają obowiązki nietylko gospodarcze ale i wychowawcze. Odczuwa się potrzebę otworzenia gospody-hotelu, gdzie przyjeżdżające dziewczyny możnaby segregować, dawać noclegi i... uczyć. Potrzeba kursów oświatowych i kasy oszczędności, a także legitymacyj, któreby były pewną gwarancją bezpieczeństwa domowego.

Dalej p. dyr. Starczewski z Wydz. Op. Społ. Zarządu Miejskiego zaznaczył, że sprawa służby będzie wymagała jeszcze szeregu lat na uregulowanie. Kontrola da bezwzględnie szacunek pracy i bezpieczeństwo rodzinom. Na rynku pracy długi czas będzie jeszcze duże zapotrzebowanie. Bo widzi się naprzykład takie anormalne rzeczy, jak kilkaset Niemek, zatrudnionych, jako wychowawczyni z powodu braku wykwalifikowanych Polek.

Wyłania się potrzeba utworzenia centrali dla spraw służby, żeby skoordynować dosyć rozbieżne prace szeregu instytucyj i stowarzyszeń.

Pani Ulanicka podkreślała konieczność stworzenia w każdym domu takich warunków, ażeby służba mogła mieć choć trochę czasu na życie osobiste. Zwraca uwagę na dużą wartość

służby przychodzącej, pracującej w warunkach nieraz bardzo ciężkich. Konieczne jest utworzenie żłobków, gdzie służące-matki mogłyby zostawić dziecko na czas pracy.

Po parogodzinnych debatach zamknięto tę tak ważną konferencję.

M. Dobrowolska

Pierzemy same

Chcąc przedłużyć życie naszych jedwabnych koszulek i kombinacji, kołnierzyków, szalików, barwnych trykotaży nie powierzajmy ich przygodnym, niestarannym i niewykwalifikowanym rękóm.

Wiemy o tem z doświadczenia, jak łatwo pozbawić raz na zawsze sweter, czy dżemper subtelnej, puszystej miękkości i fasonu przez nieumiejętne pranie. Ale czy każda z nas wie jak uprać je umiejętnie?

Pomówmy przede wszystkim o trykotach. Trykotach jedwabnych i wełnianych.

Pierwszą naszą troską będzie zachowanie ich pierwotnego kształtu i rozmiaru. A zatem przed praniem swetra, dżempra, czy kamizelki trzeba rozłożyć je na dużym arkuszu papieru i wykrajać z niego dokładny kontur. Następnie przygotować lekki roztwór z płatków, czy proszku mydlanego, które rozpuszczamy w gorącej wodzie. Mydliny muszą być całkowicie wystudzone. Tkaniny dziane i wszelkie tkaniny kolorowe nie znoszą kontaktu z gorącym, a nawet ciepłym płynem. Pierze się je zatem w mydlinach zimnych i to nie zapomocą tarcia, a zapomocą wyciskania.

Po wypraniu z „pierwszego brudu” płóczone praną sztukę kilkakrotnie w czystej wodzie. Wyciskamy i znów pierzemy w mydlinach, zmieniając je dopóki nie będą zupełnie czyste.

Teraz przystępujemy do płókania. Dobre wypłókanie polega na zmienianiu wody tak długo dopóki w tkaninie nie pozostanie ani odrobiny mydlin. Tkanina, w której pozostały mydliny staje się po wysuszeniu zwarta, lepka, niemiła w dotyku, pozbawiona naturalnego połysku.

Po wypłókanu trzeba wycisnąć praną sztukę (nie wykręcać!), włożyć ją w gruby ręcznik kąpielowy i wysączyć wodę zapomocą cierpliwego wyciskania, tak aby możliwie najmniej wilgoci pozostało w tkaninie.

Gdy wyciskanie jest już skończone układamy, w jakimś przewiewnym miejscu, kilkakrotnie złożone prześcieradło kąpielowe, rozpościeramy na niem wycięty z papieru kontur i na tym konturze rozkładamy uprąną sztukę, starając się zachować możliwie najbardziej drobiazgowo kształt swetra, czy dżempra. Trykotów nie nale-

ży wieszać dopóki wilgoć z nich całkowicie nie wyparuje, bo ciężkie od wody wyciągają się i tracą prawidłowe kształty. Jeżeli prasujemy uprąną sztukę trzeba prasować przez płótno i po lewej stronie.

Te same zasady stosujemy piorąc suknie letnie z łatwo zbiegających się tkanin. O konieczności dekatyzowania materiałów mówiliśmy w jednym z ubiegłych numerów, jednakże nawet prawidłowe zdekatyzowanie nie zwalnia z konieczności dbania o zachowanie pierwotnego rozmiaru sukni, który osiągniemy stosując się do rad podanych przy praniu trykotaży.

Bieliznę jedwabną (trykotową i nie trykotową) pierze się również w zupełnie zimnych mydlinach i płócze bardzo starannie. Suszyć zawiniętą w prześcieradło lub ręcznik, prasować jeszcze lekko wilgotną.

Pończoch jedwabnych nie prasuje się żelazkiem, a tylko suszy rozłożone na prześcieradle. Nie suszyć na słońcu! Pod wpływem operacji słonecznej kolory tracą wyrazistość, a delikatne tkaniny jedwabne łatwo pekają.

Delikatną bieliznę damską świeżo uprasowaną, trzeba przetrząść przez rozciągnięty sznurek, a dopiero gdy zupełnie ostygnie złożyć i schować. Składana „na gorąco”, bezpośrednio z pod żelazka, załamuje się, a załamki silnie utrwalone pozostają.

Wszelkie uszkodzenia, nawet najdrobniejsze, powinny być zreperowane przed praniem.

Pedantka

Konserwacja podłóg

Dobrze utrzymana podłoga w mieszkaniu jest nie tylko gwarancją, lecz i sprawdzianem jego warunków higienicznych.

Pył i kurz, osiadający na posadzkach, jest pochodzenia lokalnego oraz bywa importowany do naszych domostw przez nas samych na obuwiu i odzieży, a także napływa z ulicy przez otwarte okna, a z klatek schodowych przez drzwi.

Stąd i gatunkowość pyłu jest różnorodna, nie pozbawiona elementów składowych zagrażających naszemu zdrowiu.

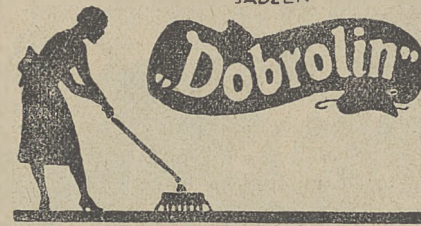
Dlatego nie jest rzeczą obojętną w jaki sposób pył ten i kurz z mieszkań naszych usuwamy. Obecna technika konserwacji podłóg odbiega znacznie od metod doniedawna stosowanych.

Dzisiaj czynność sprzątania jest umiejętnością znormalizowaną i podlega przepisom obowiązującym.

Kurz zbiera się w kolejności od warstw górnych ku dolnym, to znaczy, że najpierw odkurza się wszystkie sprzęty znajdujące się w pokoju, a dopiero potem oczyszcza się podłogę. Stąd konieczność stosowania ścierek



PRZY KUPNIE ZAPRAWY DO PODŁÓG ZADAJMY ZAWSZE JEDYNIENIE NAJLEPSZEJ W DOBIE OBECNEJ ZAPRAWY DO PODŁÓG. LINOLEUM I PC-SADZEK



zwilżonych płynami pyłochłonnymi, aby pyłu zbieranego nie rozprzestrzeniać w powietrzu.

Zamiata się podłogę szczotką owiniętą taką ścierką, wykonując ruchy wolne, podłużne, w kierunku od siebie.

Uprzednio zbiera się wszelkie skrawki, papiery i t. p. śmiecie na szufelkę, w ten sposób po zamieceniu podłogi właściwie do zebrania na szufelkę nic prawie nie pozostaje. Następnie dopiero posadzkę gładzi się froterką ręczną, czy elektryczną, lub zwykłymi suknami na nogach.

Jest przesądem nieuzasadnionym, aby zamiatanie „na wilgotno” matowało zapastowaną podłogę, czy też wpływało na nią niszcząco.

Dobra pasta wtarta w powierzchnię posadzki raz na miesiąc, pozwala na ograniczenie się wyłączenie do zaciekania powstających plam w miarę potrzeby, co stwarza racjonalną ekonomizację zarówno pasty, jak i wysiłku ludzkiego.

Jeden warunek potrzebny jest do racjonalnego utrzymywania podłogi, aby pastowanie odbywało się na czystą jej powierzchnię.

W tym celu podłoga przynajmniej raz na rok musi być wiórkowana, a co miesiąc przed pastowaniem, zmywana benzyną... Wystarczy tu skrupulatne przetarcie całej podłogi gałgankami białymi (najlepiej z flaneli) skrapianymi benzyną.

Około listew, pod którymi chętnie gnieźdzą się zarodki moli, dobrze jest przeprowadzać dezynfekcję terpentyną, a kurz z pod listew wyciągać elektroluksem.

W ten sposób utrzymywana posadzka będzie nie tylko najistotniejszą ozdobą mieszkania, ale jednocześnie gwarancją zdrowia jej domowników.

M. A.

Jadłospis tygodniowy

NIEDZIELA

Zupa wiosenna (buljon z jarzynkami).

Kurczęta z mizęją i sałatą — młode kartofelki.

Legumina z agrestem przepis w b. zeszyście.

PONIEDZIAŁEK

Barszcz z młodych buraczków za bielany śmietaną.

Młode kartofle.

Suflet ze szpinaku garniowany jajami sadzonymi (przepis w b. zeszyście) — sałata zielona.

Ryż z owocami (przepis w b. zeszyście).

WTOREK

Kartoflanka na baraninie.

Baranina duszona z włoską kapustą (przepis w b. zeszyście).

Sałata.

Owoce sezonowe.

ŚRODA

Szczaw z jajami faszerowanymi.

Ryż z jarzynkami (przepis w b.

zeszyście) — sałata zielona, albo mizerja.

Krucze ciastka z owocami.

CZWARTEK

Rosół z groszkiem zielonym i klu seczkami z naleśnikami.

Krokiety z gotowanej cielęciny — młode kartofelki w śmietanie — sałata.

Naleśniki z marmeladą z owoców sezonowych.

PIĄTEK

Zupa „krem” z drobnych rybek (przepis w b. zeszyście)

Kluseczki krajane z tartym serem szwajcarskim.

Jarzynki mieszane z mas'em.

Kompot z owoców sezonowych.

SOBOTA

Zupa koperkowa z makaronem włoskim.

Befszytki wołowe siekane z kalarepką.

Młode kartofle, sałata.

Mus poziomkowy.



samym końcu wymieszać lekko ze sztwno ubitą pianą. Włożyć tę masę w rynkę ogniotrwałą, wysmarowaną masłem i wyprószoną tartą bułeczką, wyrównać powierzchnię, zapiekać w średnio-gorącym piecu przez pół godziny. Wydając suflet na stół wyjąć go na okrągły wygrzany półmisek, ubrać jajami sadzonymi, polać masłem sklarowanym.

Młode kartofelki ze śmietaną. Drobne, młode kartofelki (jednej wielkości) oczyścić, ugotować na pół miękko, w lekko osolonej wodzie, odlać osączyć. Uduścić w łyżce masła 2 młode cebulki drobno pokrajane, wlać $\frac{1}{4}$ litra wyborowej, gęstej, młodej śmietany, wymieszać.

Włożyć kartofelki do rynki ogniotrwałej, zalać śmietaną, wymieszać, przykryć wstawić do pieca na 15 minut. Wydając na stół (w rynce, w której się dusiły) posypać obficie siekanym koperkiem. Doskonały dodatek do mięsa, albo samoistne danie na drugie śniadanie, czy kolację.

Ryż z jarzynkami. Ugotować na sypko 30 dk. ryżu. Oddzielnie uduścić w maśle dowolną ilość młodych jarzynek, podlewając je paroma łyżkami buljonu. Jarzynki wydusić do czystego masła. Gdy już gotowe wymieszać z sypkim ryżem, dodać dużo siekanej zieleninki. Wyłożyć na okrągły półmisek formując w kształcie zręcznego stosu. Otoczyć dookoła wieńcem z grosz-

ku zielonego, smażonych pomidorów, albo innych dowolnie wybranych jarzynek. Oddzielnie można podać sos pomidorowy, albo biały koperkowy.

Baranina duszona z włoską kapustą. Ugotować mostek barani na smaku z włoszczyzny i cebuli z dodatkiem paru ziarn pieprzu, ziela angielskiego listka bobkowego. Mięso na pół ugotowane wyjąć ze smaku, pokrajać w paski na dwa palce szerokie, wyjąć żeberka.

Dowolną ilość główek włoskiej kapusty oczyścić z uszkodzonych wierzchnich liści, podzielić na ćwiartki, sparzyć wrzącą wodą. Rondel ogniotrwały wyłożyć plasterkami słoniny, dać warstwę kapusty, warstwę mięsa baraniego, znów kapustę, mięso i t. d. Podlać rosółem baranim, przykryć, wstawić do gorącego pieca. Dusić godzinę. Na wydaniu zaprawić sos masłem przesmażonym z mąką, albo słoniną przetopioną i przesmażoną z mąką. Raz zagotować, wydawać w tem samym naczyniu, w którym się kapusta dusiła. Kto lubi kapustę na słodko, może, przed wstawieniem do pieca, nie tylko posolić, ale i lekko ocukrować kapustę.

Ryż ponczowy z owocami. Proporcja: 25 dkg. ryżu, 25 dkg. cukru, $\frac{1}{2}$ szklanki wody, sok z jednej cytryny, kieliszek mocnego araku, owoce świeże, albo kompotowe.

Wymyć czysto ryż, obgotować w obfitem wrzątku, wylać na si-

PRZEPISY KULINARNE

Zupa z drobnych rybek Zupa z drobnych rybek „krem”, najlepsza będzie jeżeli przyrządzimy ją z drobnych karasi. Zresztą „krem z ryb” można przyrządzić i z innych drobnych, niedrogich rybek. Jego wykwintny smak polega w dużej mierze na odpowiednim przyrządzeniu.

Ugotować esencjonalny smak na włoszczyźnie z dodatkiem sporej ilości młodej cebuli, listka bobkowego, kilku ziarn ziela angielskiego i pieprzu. Drobne rybki sprawić, wymyć, osolic. Włożyć rybki do rondła, zalać poprzedzonym smakiem, gotować na wolnym ogniu tak długo dopóki mięso całkowicie nie odstanie od ości. Przebrać zupę przez gęste sito. Wybrać ości z ryb, pozostałe mięso prze-fasować.

Zasmażyć (nie rumieniąc) czubatą łyżkę masła z łyżeczką mąki pszennej, rozprowadzić 3 żółtkami, 6 łyżek młodej śmietany kwaśnej, albo słodkiej kremowej rozkłuć w garnuszku, tak, aby się całkowicie połączyły. Wlać do wazy. Zupę zagotować, lać wrzącą na żółtka i śmietaną, mieszając bezustan-

nie. Dodać trochę drobnutko posiekanej zieleninki. Dla podniesienia smaku dodać jeszcze spory kawałek surowego masła deserowego.

Na 6 talerzy zupy trzeba wziąć 1 kg. drobnych rybek i dodatki, jak wyżej.

Suflet ze szpinaku z jajami sadzonymi. Proporcja: 15 dkg. mąki pszennej, $\frac{1}{2}$ szklanki mleka słodkiego, 2 łyżki surowego masła, 5 jaj, 1 kg. szpinaku, sól. Masło i bułeczka do wysmarowania rondła.

Zagotować mleko z masłem. Wsypać osianą mąkę, mieszając na ogniu łyżką drewnianą i podgrzewając tak długo dopóki ciasto całkowicie nie odstanie od rondła. Zdjąć z ognia, wystudzić.

1 kg szpinaku oczyścić, wypłókać, osączyć. Rzucić na obfitą wrzącą wodę, zagotować bez przykrycia (przykryty traci kolor). Osączyć szpinak na sicie, prze-fasować.

Do przestudzonego ciasta dodawać po jednym żółtku, wyrabiając ciasto łyżką drewnianą. Gdy ciasto stanie się gładkie i pulchne dodać szpinak, wymieszać, osolic do smaku, a na

to, przelać zimną wodą, osączyć. Ugotować ryż na niewielkiej wodzie na pół miękko, uważać, aby się nie rozkleił. Przygotować syrop z 25 dkg. cukru, $\frac{1}{2}$ szklanki wody, soku z jednej cytryny, zalać nim ryż, przykryć, wstawić do piecyka, trzymać dopóki ryż nie wchłonie syropu. Po zdjęciu z ognia wlać duży kieliszek araku, wymieszać.

Wypłókać formę zimną wodą, wyprószyć cukrem. Układać warstwami ryż i świeże drobne (bardzo dojrzałe), albo osączone z syropu owoce kompotowe. Na spód i na wierzch dawać ryż. Wstawić formę w łód, a gdy ryż doskonale zastygł wyjąć go na ozdoby, okrągły półmisek ubrać suto świeżymi lub kompotowymi owocami. Do ryżu ze świeżymi owocami podać oddzielnie młoda, kwaśną śmietaną — do ryżu z owocami kompotowymi, marmeladę owocową rozrzedzoną kilkoma łyżkami białego wina owocowego.

Krucha legumina z agrestem. 20 dkg. masła deserowego, 20 dkg. cukru pudru, 3 całe jaja, 2 żółtka, 40 dkg. mąki pszennej. Kilka sucharków, cukier, puder, agrest, 5 dkg. masła. Utrzeć masło na śmietaną, wysypując stopniowo cukier puder i wbijając 3 całe jaja i 2 żółtka. Gdy masa już pulchna dodać mąkę, szczyptę soli, trochę tłuczonej wanilii. Zagnieść ciasto, postawić w chłodzie, żeby stężało. Po upływie pół godziny rozwałkować dosyć cienko, wyciąć krąg, położyć go na papierze wysmarowanym masłem. Z reszty ciasta uformować rant, ukarbować zręcznie palcami. Agrest, po oczyszczeniu z szypulek, sparzyć wrzątkiem, doskonale osączyć, wsypać na miskę, wymieszać z cukrem i kilkoma miałko utłuczonymi, lekko sucharkami. Nałożyć tort z agrestem, położyć na nim kil-

ka kawałeczków wyborowego masła deserowego, upiec w dobrze ogrzanym piecu. Podawać na gorąco wprost z pieca, posypując obficie cukrem pudrem w chwili wyjęcia z pieca. Rant posmarować przed wstawieniem do pieca rozbitym jajkiem.

Legumina z wiśniami. Proporcja: 20 dkg. masła, 10 całych jaj, 20 dkg. migdałów słodkich i kilka gorzkich, 20 dkg. bułki, skórka pomarańczowa, wanilja, wiśnie i cukier do osmażenia w ilości: 1 kg. cukru, na 1 kg. wisien wyrażonych.

Utrzeć masło na śmietaną, dodając stopniowo: całe jaja, cukier, mielone migdały. Ucierać około pół godziny. Wreszcie dodać bułkę namoczoną w mleku i doskonale wyciśniętą, trochę skórki pomarańczowej osmażonej w cukrze, trochę wanilii. Doskonale wymieszać.

Zawczasu umyć, osączyć i wydrążyć wiśnie (szklanki, hiszpanki, albo czarne) osmażyć w gęstym syropie, osączyć, wystudzić. Wymieszać wiśnie z masą tortową, włożyć ją do tortownicy wyłożonej białym papierem, który trzeba suto wysmarować masłem. Piec 30 minut w dobrze ciepłym piecu.

NAPOJE CHŁODZĄCE

Kwas cytrynowy. 6 dużych cytryn o cienkiej skórce pokrajając na plasterki, odrzucając starannie wszystkie pestki. Włożyć do dużego garnka kamiennego, lub małej beczułki po winie, dodać 40 dkg. rodzynek bez pestek, 2 kg. cukru kryształ, zalać 6 litrami wody wrzącej, nakryć szczelnie, albo obwiązać ściśle pergaminem.

Po upływie 24 godzin dodać jeszcze 20 litrów wody przegotowanej i wystudzonej, 5 dkg. drożdży rozproszonych pół szklanką letniej wody z dodat-

kiem łyżki mąki pszennej. Po upływie kilku godzin, gdy rodzynki i plasterki cytryny spłyną na wierzch, precedzić płyn, zlać do grubych butelek szklanych z porcelanewemi, odrutowanemi korkami, ułożyć w chłodnej piwnicy. Po upływie 5 dni kwas jest już gotów do picia. Przed podaniem na stół trzeba go doskonale zamrozić. Otwierać ostrożnie i umiejętnie. Wstrząśnięty musuje zbyt silnie i wycieka z butelek. Jest wyśmienity, silnie musujący i bardzo orzeźwiający.

Kwas na miodzie. Proporcja: 1 i pół kg. cukru rąbanego, o tartego o skórkę od cytryny, 9 cytryn, 3 kg. najprzedniejszego miodu pszczołowego, 12 litrów wody przegotowanej.

Obetrzeć cukier o skórkę od cytryn, przetopić na bardzo wolnym ogniu z miodem, uważając, aby się cukier i miód nie zrumieniły. Dodać sok, wyciśnięty z dziewięciu cytryn i precedzony przez gęste sitko. Gdy ulep wystygnie, wlać 12 litrów przegotowanej, wystudzonej wody, doskonale wymieszać, zlać w beczułkę po winie, przykryć otwór płótnem, wynieść do chłodnej piwnicy.

Po upływie 14 dni zlać napój w butelki szklane z porcelanowemi korkami, ułożyć je w chłodnym piasku i trzymać tak jeszcze dwa do trzech tygodni. Podawać bardzo zimny, zachowując przy otwieraniu te same ostrożności, co przy kwasie cytrynowym. Kwas na miodzie jest napojem bardzo wykwintnym o charakterystycznym, swoistym smaku.

Kwas z chleba razowego. Proporcja: 2 kg. chleba razowego, 2 i pół kg. cukru, 5 dkg. drożdży, łyżka mąki pszennej, rodzynki, 25 litrów wody przegotowanej.

Ususzyć chleb razowy w piecyku, lekko rumieniąc. Pokruszyć, włożyć w duży garnek kamienny, albo w beczułkę, zalać 25 litrami wrzącej wody. Przykryć. Pozostawić w spokoju na przeciąg 24 godzin. Po upływie tego czasu precedzić płyn przez gęste płótno, starając się nie zmacić go przy zlewaniu, gdyż w ten sposób łatwiej i prędzej można go precedzić. Dodać do przedcedzonego 2 i pół kg. cukru, 5 dkg. drożdży rozrobionych w pół szklance letniej wody z dodatkiem łyżki mąki pszennej. Wymieszać, trzymać 6 godzin pod przykryciem. Zlewając kłasek na dno każdej butelki po 3 rodzynki sułtanka. Ułożyć butelki w chłodnej piwnicy, a po pięciu dniach kwas już będzie dobry do picia. Podawać silnie ochłodzony.

Jeżeli podajemy kwas do stołu, przy którym zasiada większa ilość osób, lepiej jest wlać go do dużego dzbanka szklanego, a w ten sposób unikniemy ewentualnej katastrofy przy otwieraniu poszczególnych butelek.

Ciasto z bakaljami. Dodatki: 125 gr. cukru, 3 jajka, 60 gr. migdałów, 125 gr. orzechów laskowych, 125 gr. fig, 125 gr. cykatek, 250 gr. rodzynek, szczypta cynamonu, 125 gr. mąki pszennej, $\frac{1}{2}$ paczki proszku do pieczenia „Backin“ D-ra Oetkera.

Sposób przyrządzania: Cukier i jajka utrzeć na pianę, dodać, nieobrane, pokrajane na połowę migdały, podzielone na ćwiartki orzechy laskowe, pokrajane w cienkie paski figi, posiekaną cykatę, rodzynki, cynamon, przesianą i zmieszaną z Backinem mąkę, wyrobić wszystko starannie. Piec w wysmarowanej tłuszczem formie keksowej około 40 minut. Piec powinien być niezbyt gorący.

Melba

TREŚĆ NUMERU: Droga w nigdzie — *Zofja Petersowa*; Kobieta i żołnierz — *Marja Dobrowolska*; W cieniach sławy — *Kl. Sołownikówna*; Atak ślepymi nabojami — *Marja Ankiewiczowa*; Okno na świat — *Argus*; Miss Viola Smith — *B. Abramska*; Historia Helki — *Jadwiga Korczakowska*; — Przez wąskie drzwi — *Jadwiga Żylińska*; Kilka słów o Hannie Malewskiej — *Anna Śmiałowska*; Wiadomości Radjowe; Z Teatrów — *Zofja Miszewska*; Ze srebrnego ekranu — *es-ha*; Dzień — *Romana Buzkówna*; Szlakiem południa — *Iza-Bell*; Odpowiedzi kosmetyczne — *Magdalena Poznańska*; Podwieczorek i Dania podwieczorkowe — *Melba*; W sprawie służby domowej — *M. Dobrowolska*; Pierzemy same — *Pedańka*; Konserwacja podłóg — *M. A.*; Jadłospis Tygodniowy; Przepisy Kulinarne — *Melba*;

Prenumerata: miesięcznie 1 zł. 75 gr., kwartalnie 5 zł.

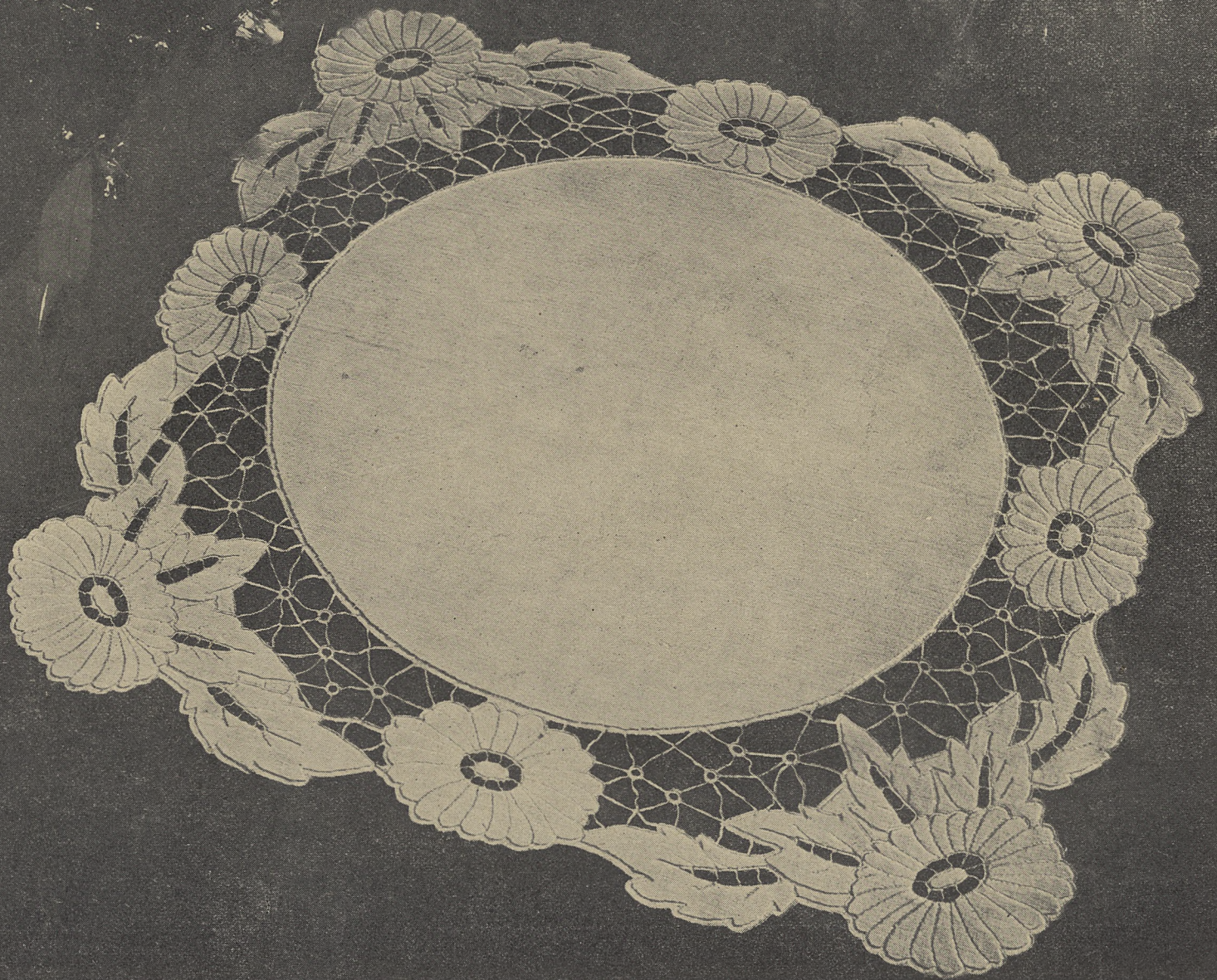
REDAKTORKA NACZELNA: *Wanda Dobrzańska*.

WYDAWCA: *Kobiece Spółdzielnia Wydawnicza*.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Natolińska 9. m. 13, tel. 7-08-03. Konto P. K. O. 13 191.

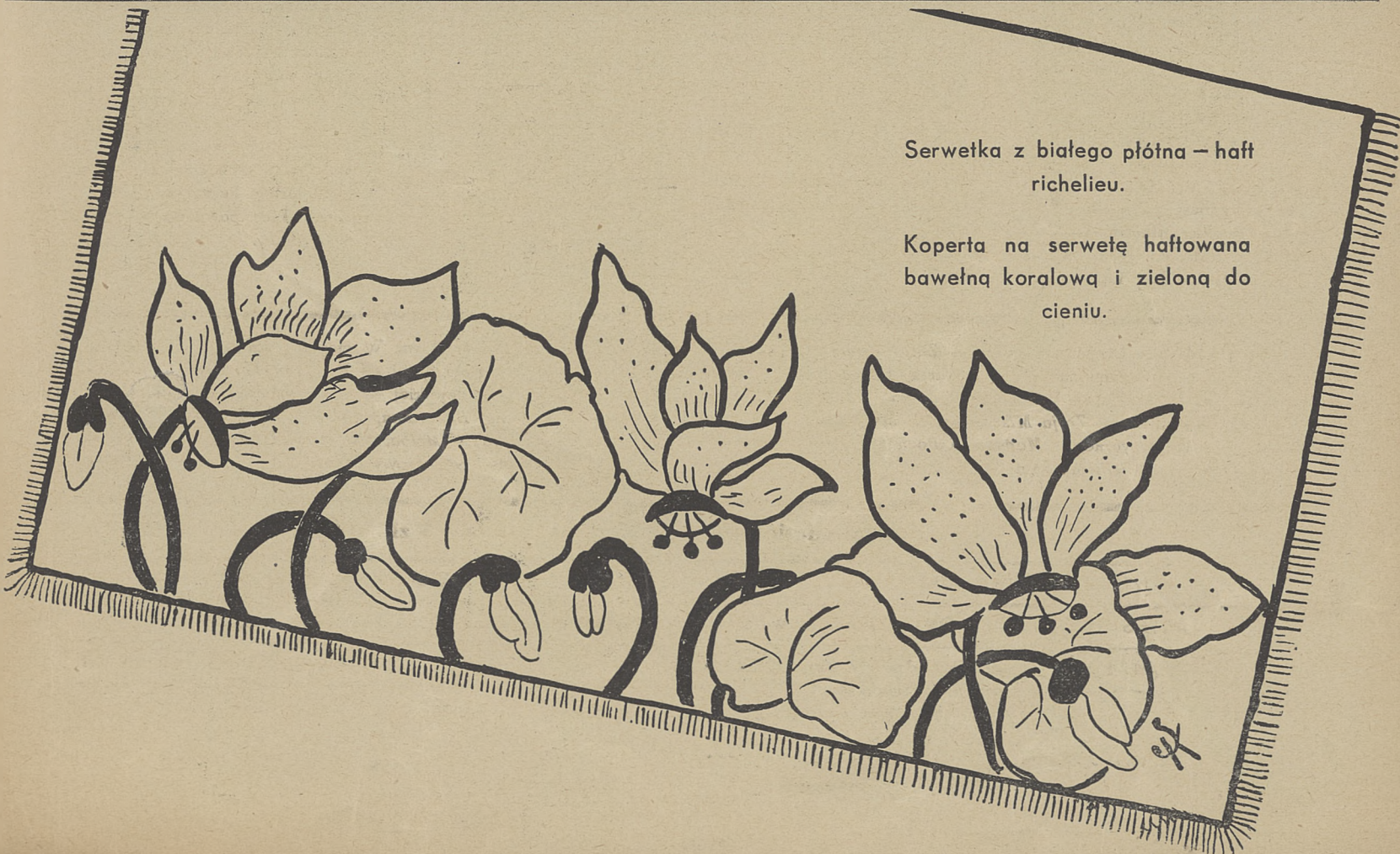
CENY OGŁOSZEŃ: 1 mm. 1 szpaltowy w dziale 3 łamowym 75 gr., cała strona 550 zł.; w dziale 4 łamowym 50 gr., cała strona 495 zł.

Drukarnia Krajowa w Warszawie. Chłodna 44. Tel. 5.88-70.



Serwetka z białego płótna – haft richelieu.

Koperta na serwetę haftowana bawełną koralową i zieloną do cieniu.



125. SUKNIA OGRODOWA Z KRETONU GRANATOWEGO W BIAŁY DESEN.

126. SUKNIA DOMOWA ZE SZTUCZNEGO JEDWABIU, ZAPIĘTA Z BOKU I OZDOBIONA KIESZENIĄ.

127. SUKNIA DOMOWA Z PŁÓCIENKA W NIEBISKĄ KRA-

TECZKĘ, KOŁNIERZYK, MANKIETY I FARTUSZEK Z PŁÓTNA LNIANEGO W KOLORZE NATURALNYM.

128. SZŁAFROK Z JEDWABIU WIŚNIOWEGO, PRZYBRANY KREZĄ I MANKIETAMI Z BIAŁEGO JEDWABIU.

129. MODEL SUKNI NOSZONEJ DO FARTUSZKA, PODANY POD Nr. 127.



Stanisław
Skwaraj
WARSZAWA BRACKA 10 TELEF. 9-30-89
OKRYCIA, SUKNI, KOSZULY.
Od skromnych do wykwintnych -